POEZYE

BRUNONA HRABI KICIŃSKIEGO

CZŁONKA BYŁEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK
WARSZAWSKIEGO,
I NAUKOWEGO KRAKOWSKIEGO.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.

POEZYE

BRUNONA HRABI KICIŃSKIEGO,

CZĘŚCIĄ PRZEKŁADANE, CZĘŚCIĄ ORYGINALNE

ODDZIAŁ II.

TOM VI.

CZĘŚĆ I.

WARSZAWA.

W DRUKARNI J. UNGER. ULICA SENATORSKA N. 463.

1845.

ANTOLOGIA
NIEMIECKA.

TOM II.

PRZEDMOWA.

W Tomie 4tym Igo oddziału, udzieliłem Publiczności przekładu z dawnych kilku Poetów Niemieckich. W tym oddziale prócz przekładów z nieżyjących Langbeina i Vossa, przekłady inne są z nowych żyjących poetów. Są to prawie tylko ulotne Poezye, bo dzisiejsza poezya niemiecka, nieprzedstawia nam żadnego dłuższego zakresu Poezyi, i jak ziemia po wielkim urodzaju potrzebuje spoczynku, tak i niwa poezyi niemieckich po wydaniu Szyllera i Goethego, zdaje się odpoczywać, nim nowy jaki genjusz zabłyśnie.

POEZYE

LANGBEJNA.

PRZEDMOWA.

W [illegible], [illegible] [illegible] przekłady z [illegible] Poetów [illegible]. W tym od[illegible] [illegible] Longfellow [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] poezya [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] po wydaniu [illegible] i [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] jak [illegible] [illegible].

I.

NOWA EWA.

Ah! biedacy!
Co tu pracy,
Na tym świecie musim mieć!
Wciąż do koła,
W pocie czoła,
Szczapy łupać, kloce trzeć.

Oj ta Ewa!
Po co z drzewa,
Zakazany owoc rwać,
Błogie chwile,
Takby mile,
Mogły dla nas w raju trwać.

Owoc słodki,
I łakotki,
Ja z innemi chętnie zjem,
Lecz w tym razie,
Przy rozkazie,
Wytrwałabym, o tém wiem."

Tak Małgośka,
Do Antośka,
Męża swego mówić śmie.
W tym na licho,
Pan ich cicho
Zszedł i wyrzekł słowa te:

„Ewę gładko,
Łajesz matko!
Ale jabym prawie zgadł,
Że ty może,
W to rodzroże,
Szłabyś sama w Ewy ślad.

Jeśli święcie
Przedsięwzięcie,
Macie wytrwać w zdaniu swym,
Złóżcie piłę,
A ja miłe
Dam wam życie w dworze mym."

Ewa nowa,
Słysząc słowa,
Które do nich mówił Pan.
To raz płacze,
To znów skacze,
Tak ją cieszy przyszły stan.

W pięknéj sali,
Najwspanialéj,
Pan we dworze mieści ich.
,,Tu wam dziatki,
Wspólnéj matki
Ewy, niedokuczy grzéch.

Tu pospołu,
Bez mozołu
Mieć będzie błogi byt,
Ani złoty
Do roboty,
Nieocuci was tu świt.

Przy objedzie,
Daném będzie
Siedem potraw; zjedzcie sześć.
Siódme danie,
Niech zostanie,
Tego wzbraniam tknąć i jeść.

Od ciekawéj,
Téj potrawy,
Odwracajcie wzrok i dłoń,
Bo stracicie,
Błogie życie,
Nic nie tykać, Boże broń!"

W dworze było
Dobrze, miło,
Jakby w raju. Dzień za dniem.
Dwa tygodnie,
Im swobodnie
Przeszły jakby były snem.

Lecz gdy trzeci
Tydzień leci,
Rzekła żona: Przyznam się,
Coś mnie nęci,
Mimo chęci,
Spojrzeć pod pokrywkę tę."

„Myśl szaloną,
Porzuć żono,
Dobrze wiesz, więc pokój daj,
Że ciekawéj,
Téj potrawy,
Jak się dotkniesz, stracim raj.

Znowu w pracy,
Nieboracy,
Będziem żyć i biedę mieć,
Wciąż do koła,
W pocie czoła,
Szczapy łupać, kloce trzeć."

Dobra rada
Nieprzypada
Pani żonie jakoś w smak;
Tak się tłoczy,
Myśl przed oczy,
I nurtuje w niéj jak rak.

Cóż uczyni?
Węża przy niéj,
Rolę dziś ciekawość gra·
Mąż się gniewa,
Nowa Ewa
Ciągle jedno w głowie ma.

Kusi licho,
A więe cicho,
Wierzch uchyla, robiąc krzyż.
Lecz o dziwy!
Z pod pokrywy,
Wylatuje drobna mysz.

Co tu krzyku,
Płaczu, ryku,
Było, gdy się stał ten grzech,
Lecz zwierzątka,
Z jego kątka,
Niezwróciła rozpacz ich.

W domiar sromu,
Zaraz w domu
Pana o tem doszła wieść,
Więc wygania
Ich z mieszkania,
Jeszcze muszą żarty znieść.

Bledzi, drżący,
Sli niechcący,
Ah! niegodni raju mieć,
I jak pierwej,
Znów bez przerwy,
Muszą drzewo łupać, trzeć.

W tém do żony,
Mąż strapiony
Mówił z dworu idąc precz,
„Głupi w dumie,
Ganić umie,
Lepiéj zrobić trudna rzecz.“

II.

LILITH.

POWIEŚĆ ŻYDOWSKA.

Ojca Adama pierwsza żona,
Była też z gliny ulepiona.
Stąd Lilith dumna, jak paw dęła,
I tak do męża mówić jęła:
„Czego ty przy mnie dmiesz Adamie!
I ja mam w sobie bóstwa znamie,
Twoja powaga bez przyczyny,
Bośmy oboje z jednej gliny.“

Zrazu od żartów szło do swarów,
Nakoniec swary poszły w narów,
Lilith od męża gdzieś uciekła,
A on jej kazał iść do piekla.
Odtąd Sobotki ma z czartami,
Zbrojna w pazurki i rożkami,
Tak przelatuje całe światy,
Siedząc na końcu swej łopaty.

Po jej ucieczce było cicho,
Jak kiedy burzę weźmie licho.
Mąż udręczony mógł w tej dobie.
Po tylu smutkach wytknąć sobie,
Raz spał łagodnie w cieniu drzewa,
W tem mu się we śnie zjawia Ewa,
Mająca w oczach wdzięk Anioła,
Jakiego oddać nikt nie zdoła.

Nie z głowy męża jest stworzona,
Nie z jego stopy druga żona.
Tem wskazał Bóg, że nie chciał drugą
Żonę mieć panią, ani sługą,
Lecz że ją wyjął z męża boku,
Pewnie tę myśl miał na widoku,
Ażeby słodka, dobra, miła,
Drugiem dla niego sercem była.

III.

TYLNE DRZWICZKI.

Tłum liczny Adoratorów
Zbiegał się do młodej żony,
Stąd częsty powód do sporów,
Miał nieraz mąż utrapiony;
Lecz żonka ile kroć przyśli
Mówi: „W tem niema złej myśli.“

Gdy to się często powtarza,
Mąż nic niemówiąc nikomu,
Przyzywa skrycie mularza,
I wiodąc w tył swego domu,
Mularzu! mówi. Bez sprzyczki
W tym murze wykuj mi drzwiczki."

„Coż mają drzwiczki te znaczyć?
Pyta się żona ciekawa,
Lecz mąż się niechce tłomaczyć,
I na robotę nastawa.
I póty czeladkę pili,
Aż wreszcie drzwiczki wybili.

Jak gdyby w dzień poświęcony,
Na obchód uroczystości,
Zaprasza na objad gości
A wszystko krewnych swéj żony:
Schodzą się ciotki, stryjenki,
Przybrane w piękne sukienki.

Siedząc przy okrągłym stole,
Wstał mąż przy czwartéj potrawie;
Z kielichem w rodzinnem kole,
Ten toast podnosi żwawie.
„Niech żyją drzwiczki ukryte!
Dla ciebie żonko wybite."

„Tłum liczny Adoratorów
Przychodził do mojéj żony,
Bywał stąd powód do sporów,
Bywałem nieraz zmartwiony.
Żonka mówiła gdy przyśli,
Wierz mi, w tém niema złéj myśli.

Jam wierzył, ale sąsiedztwo,
Nie tak jest skore do wiary,
Ciekawość zaczyna śledztwo
Biorąc na nos okulary.
Co który gach nas odwiedzi
Piszą w pamiętnik sąsiedzi.

Chcąc przerwać to szpiegowanie,
I kres położyć potwarzom
Drzwi skryte w tylnéj tu ścianie
Kazałem wykuć mularzom.
Niech w noc czy we dnie Jejmości
Ułatwią przyjmować gości.“

Jak przy najlepszéj zabawce
Każdy tych słów dosłuchuje,
Ale mąż idzie ku szafce
I tackę z środka wyjmuje.
Cóż to jest? każdy się pyta,
Tacka jedwabiem przykryta.„

Z uśmiechem mąż tackę bierzę
I stawia przed swoją żonką.
Ta patrzy, ciekawa szczerze,
Co znajdzie pod tą obsłonką.
Uchyla jedwab nieśmiało,
Dwanaście kluczy leżało.

„Nieznośnie sąsiedztwo mruczy,
Gdy sztuk lub dzwonek usłyszy;
Kazałem więc tuzin kluczy,
Zrobić dla twych towarzyszy.
Gdy mało, to na usługi
Tuzin dorobi się drugi.“

Patrzą się na tylne drzwiczki
Ciotki, stryjenki i stryje;
Widząc że twarz synowiczki
Ognistszy rumieniec kryje.
I szepczą: Także to z tobą
Ty niegdyś dziewcząt ozdobą.“

„Wierzcie! odrzekła, sumienia
Mojego nic nie splamiło.
Lecz odtąd strzedz się i cienia
Za powinność uznam miłą“
I w zamiarze swoim stała
Wielbicieli pożegnała.

IV.

PRZESTROGA.

Tylko chwilkę kwitnie maj,
Potém zmyka w świata kraj,
Więc dziewczęta zważcie na to,
Bo i miłość jest skrzydlatą,
Więdnie kwiatek, więdnie krzak,
I z pięknością bywa tak.

Patrz ta stara, była wprzód,
Swięźą, piękną, jakby cud,
Dziś się w kłębek jak jeź zwija,
I zwierciadła juź omija.
Nie jednemu dała kosz,
Z kijem źebrze dziś o grosz.

I wy świeźe jakby kwiat,
Lecz się bójcie przyszłych lat.
Gdy was godny mąź pokocha,
Nie bądź źadna dumnie płocha;
Bo juź moźe i dla was,
Kijek jaki struźe czas.

V.

NIESZCZĘŚLIWI PTASZNICY.

Kusiło coś chłopaka,
By sobie złapał szpaka;
Więc czychał pod wierzeją;
Zobaczył to mądrala,
I rzekł: Posół go zdala,
A skrzydła mu się skleją.

Usłuchał głupi Jonek,
Sól sypie na ogonek,
Lecz próżno się pokwapia,
Bo nim posolił które,
Frunęły wszystkie w górę,
A każdy śmiał się z gapia.

Wielu tak goni śmiało,
Za wielkim szpakiem: chwałą.
Lecz cóż się z tego święci?
Ot! próbki ich wierszyków,
Z Przeglądów i Dzienników,
Wecują recenzenci.

VI.

MŁYN GŁUPICH.

I skądże to powstał na targu ten tłok?
Skąd wszyscy w tę stronę zwrócili swój wzrok?
Staruszek na bary nawieszał obrazów,
A wszyscy się cisną do owych bomazów.

On wrzeszczy, jak gdyby kto z skóry go darł,
Panowie! kto kupi ten towar z mych bar,
Smiech bardzo dziś drogi, a ja nie na finfę.
Na szczere go sprzedam i sztukę za tynfę.

Potrafi i kwaśnych zabawić mój kram,
Bo i staroświeckie obrazki tu mam.
Ot patrzcie! ten obraz młyn głupich przedstawia,
Przyjrzyjcie się dobrze, co na nim sie zjawia

Treść rzeczy wam powiem,by każdy z was rzekł,
Że włosy mam siwe, a uczciwym człek,
Że kota wam w worku nie myślę ja sprzedać,
Bo gdy się wam nie zda, możecie nic nie dać.

Kto młyn ten zbudował, którego tu rys
Widzicie przed sobą, ten pewnie był lis,
Bo chciał on był z niego zgromadzić gotówkę,
Mleć głupich jak zboże i brać z nich pytlówkę.

Gdy stanął nakoniec dziwaczny ten gmach,
Był wtedy na głupich i skweres i strach,
Jak gdyby na zwierza obławę robiono,
I w worki wiązano i na młyn wieziono.

I czego się śmiejesz? Nie żaden to żart,
Rzędami ot worki dostrzeżesz z tych kart,
A przez ich rozpory, to dzwonki ujrzycie,
To różne dziwaczne tych głupców okrycie.

Porządnie okuty poczwórny tam wóz,
Żywego im zboża już kilka sztuk zwiózł.
Skąd widać, że wówczas na wszelki ich rodzaj,
Jak i dziś na świecie był hojny urodzaj.

A teraz Panowie! zajrzyjcie w sam dom,
Bo wkrótce już koła rozpoczną: rom, tom.
Parobcy tu worki dźwigają potrosze,
To na pud stawiają, to sypią na kosze.

Największy ten worek porwali we dwóch,
A choć się w nim głupiec szamotał jak zuch,
Do kosza go zaraz wrzucili na głowę,
Zastawę podnieśli i poszli po nowe.

Raduje się młynarz, że idzie mu grosz,
Bo głupich mrowisko pakują na kosz,
I baby uczone i bladych fircyków,
I niedowarzonych tuziny krytyków.

Pieniący się strumień poruszył sztuk kół,
Od pudu zszedł młynarz obaczyć na dół,
I rad był, że wartko latały paprzyce,
Więc pełen ufności zagląda w mącznicę.

O jakże się biedak w nadziei swej zwiódł,
Przeżegnal się, pewny że widzi tam cud,
Bo głupcy w mącznicę w całkości spadali,
I stali się gorsi i bardziej zuchwali.

Przestraszył się młynarz i z młyna już biegł,
W tym jakiś uczony do niego tak rzekl:
„Majsterku! tyś widzę jest w sztuce swej krzepki,
„Lecz dziś w mózgownicy brak piątej ciklepki.“

„Z motyką na słońce porywasz się sam,
„Że głupich bez końca, rzekł Salomo nam.
„A głupstwo nie puści, choć stłuczesz w makutrze,
„Choć zmielesz na mąkę, choć na proch się utrze.“

VII.

ŚPIEW UMARŁÉJ.

NA MIARĘ ORYGINAŁU.

Kunegundą zwano mnie na ziemi,
Nim mnie śmierć zrzuciła w przepaść wprost,
Nim z jéj kubka piłam usty memi,
Nim podemną runął życia most.
Kwitły moje lica,
Skrzyła się źrenica,
I wysmukłéj sosny miałam wzrost.

Jako gwiazda, tak ja na turniejach
Zajaśniałam w gronie młodych Dam,
Najpiękniejsi w szranki śli w nadziejach,
Że nagrodę z własnych rąk im dam.
Rudolf tylko stale,
Kochał mnie w zapale,
Choć oziembłą byłam, wytrwał sam.

—

I uczułam tęschne serca bicie,
I wybrałam jego z między stu,
Za tak stale mnie oddane życie,
Wzajemnością odpłaciłam mu.
Serc wylania tkliwe!
O chwile szczęśliwe!
Za świat cały was nie oddam tu.

—

Tak świat w sobie widząc w szczęścia wianku,
Obca troska nam niećmiła dni,
Gdym na arfie grała przy kochanku,
On z zapałem nucąc wtórzył mi.
Stąd te wdzięczne tony,
Spiew ten ulubiony
Dotąd w duszy mojej ciągle brzmi.

Lecz pomimo naszych roskosz róży,
 Kolec smutku serca nasze kłuł,
Bo ubóstwo los nam cierpki wróży,
 To zarówno Rudolf zemną czuł.
  Dręczył wzgląd konieczny,
  Czy przez związek wieczny,
 Brakby z nędzą naszych dni nie truł.

—

Jako męża ścisnęż go wzajemnie?
 Lub nasz związek przerwież losu moc?
Tak tęsknota warła ciągle we mnie,
 Jak pociski wyrzucane z proc.
  Matka mi mówiła,
  Gdym się jéj zwierzyła,
 Czekaj, przyjdzie wnet Andrzeja noc.

—

Gdy dzień zgaśnie zamknij się jedyna,
 I kielichy wybierz czyste dwa,
W jeden wody, w drugi nalej wina,
 Niech następnie zręczna ręka twa,
  Jak gdyby dla gości,
  W dzień uroczystości,
 Stół nakrywszy wszystko pięknie da.

Gdy rzecz cala tak się zręcznie sprawi,
Gdy kielichy wejdą już na stół,
Wtedy postać męża się objawi,
Który wiek swój wieźdź ma z tobą wspól.
W téj wybrany dobie,
Kielich wskaże tobie,
Jaki los wam życie będzie snuł.

—

Bo z bogatym wtedy dni skojarzysz,
Gdy duch wino spełni aż do dna,
Gdy ubogim będzie twój towarzysz,
Postać kielich z wodą wypić ma,
Lecz w uboższym stanie,
Szczersze przywiązanie,
Dłuższe szczęście tobie poznać da.

—

Zajaśniała w świetle gwiazd wspaniałym
Noc Andrzeja. Czekam co mi da,
Zamknęłam się w pokoiku małym,
I kieliszków napełniłam dwa.
Ah! w tę noc Andrzeja,
Trwoga i nadzieja
Na przemiany w sercu mojem trwa.

Aż pod północ skrzypnęły podwoje,
I do izby mojej prosto wszedł
Cień Rudolfa; miał podobną zbroję,
Wzrost i postać rozpoznałam wnet.
Kielich z wodą skromnie,
Wypił na pół do mnie,
I natychmiast z oczu moich zszedł.

—

Jak ta chwila była sercu miła,
Z uniesieniem rzekłam: »Już on mój!"
Lada chatkę miłość mi wieńczyła,
Nektar przy niej lał mi każdy zdrój.
Skarbów milionem,
Wzgardziłabym tronem,
Już się w sercu mojem skończył bój.

—

Ah! ta chwila była tak wesołą,
Była dla mnie wróżbą błogich scen,
„O! Rudolfie! rzekłam, rozchmurz czoło,
Porzuć troski, porzuć smutek ten,
Nietknie nas zmartwienie,
Szczęscia zapewnienie,
W bliskiej nam przyszłości odkrył sen.

Lecz on rzekł mi: „Pójdę w obce kraje,
Drogę szczęścia utoruje miecz,
Jedna tylko myśl mi w oczach staje,
Jedna tylko serce dręczy rzecz.
Będzieszże mi stała?
Będziesz mnie kochała?
Czyż się serce twe nie cofnie wstecz."

—

Tak mój drogi serca przyjacielu!
Z uuiesieniem rzekłam wtedy doń:
Będę wierną, i ty trwaj w tym celu,
Wiernie życie przejdźmy z dłonią dłoń."
Przysięgą w tej chwili,
Wierność my stwierdzili,
Ze łzą w oku Rudolf wsiadł na koń.

—

Czy zgadywał naszą przyszłość mętną,
Czy przeczucie rozdrażniało go,
Że się żegnal z twarzą, z myślą smętną,
Jakby przejrzał wszystkicb nieszczęść dno.
Znałam jak mnie kocha?
Czemuż byłam płocha?
Ale przyszłość czy przewidzi kto?

O Rudolfie myślę w utęschnieniu,
O Rudolfie marzę nawet w śnie,
A w wierności pierwszém uniesieniu,
Już innego ani widzieć chcę,
Lecz tę myśl osłabia,
Młody jeden Hrabia,
I samotność moją przerwać śmie.

—

Pochlebnemi, pieszczącemi słowy,
Czczéj próżności ziarnu wzrost on dał,
Któréj zaród na zgubę gotowy,
Zły duch skrycie w serce kobiet wsiał,
Która zaś po woli,
Wyrość mu dozwoli,
Téj on szczęście zniszczyc pewnie miał.

—

Hrabia Tytus skarbów blaskiem całym,
Umiał zręcznie olśnąć słaby wzrok;
Gasł mój Rudolf przy bogaczu śmiałym,
A najtrudniéj zrobić pierwszy krok,
Czyż Rudolfa postać,
Mogła w sercu ostać,
Czułam jak ją zaćmił zimny mrok.

W tym wieść przyszła, że w dalekiej ziemi,
Zasłużywszy na najwyższą cześć,
Poległ Rudolf w boju z liczniejszemi,
Tytus chętnie tę utwierdzał wieść.
Ileż łez wylałam,
Gdy ją usłyszałam,
Ileż ja musiałam biedna znieść.

Lecz jak falą powalona trzcina,
Z czasem zwolna z ziemi wstaje znów,
Tak choć boleść serce moje zgina,
Przecież umysł powstał jeszcze zdrów.
Niezgłębiając wieści,
Zmogłam me boleści,
I słuchałam chętnie Hrabi słów.

Czy istotnie kocha mnie wzajemnie?
Czy nasz związek przerwie losu moc?
Tak niepewność warła silnie we mnie,
Jak pociski wyrzucane z proc.
Chciałam najniezwłoczniej,
Badać mej wyroczni,
Gdyż nadeszła znów Andrzeja noc.

I naukę matki méj odnawiam.
Wnet obrządek tenże sam się wszczął,
Kielich z winem, kielich z wodą stawiam,
Patrząc skądby duch się zjawiać jął,
W tém śmiałemi kroki,
Jak Hrabia wysoki,
Przyszedł duch i kielich z winem wziął.

—

Lecz zaledwie do ust go przyłożył,
Kiedy nagle, nie zamknięte drzwi,
Ale ścianę kościotrup otworzył,
Stąpa straszny, w gniewie zbroją brzmi;
Spieszy ku Hrabiemu,
I natychmiast jemu
Wyrwał kielich z winem, marszcząc brwi.

—

Zlękła padłam bez tchu i bez siły,
Co się stało nieopowiem wam,
Bo gdy zmysły znowu mi wróciły,
Obu zjawisk już nie było tam.
Długo myśl mą całą,
Widmo zajmowało,
Nie zajmował więcéj Hrabia sam.

Jednak płochość ciągle mi szeptała:
 Jak dziecinnie ty się tworzysz tu!
Rudolf zginął, już go śmierć zabrała,
 Choć tak chlubnéj każdy zajrzy mu.
  Szczęścia użyj śmiele,
  Bo wasze wesele,
 Rudolfowi nie przebudzi snu.

—

Zrzucam smutek, i szczęśliwa wchodzę
 W wir rozrywek, w świetnych balów szał,
I niebaczna już na mojéj drodze
 Utajonych niepostrzegam skał,
  Już tylko o szczęściu,
  Myślę i zamężciu,
 Bo mej ręki z sercem Tytus chciał.

—

W upojeniu zabaw i pieszczoty,
 Głuchą byłam na rozwagi głos,
Nad przyszłością most stawiałam złoty,
 Chociaż pod nim potok fale niosł,
  A zmianą pierścionka,
  Z losami małżonka,
 Mój na zawsze połączyłam los.

W dniu wybranym do uroczystości,
Jak szczęśliwym szczęściem mém był mąż.
W świetném gronie zaproszonych gości,
Ani chwili niestruł smutku wąż.
Przy kielichów brzęku,
I przy śpiewów dźwięku,
Aż pod północ uczta trwała wciąż.

—

A w tem jakby przed burzą i grzmotem,
Tajny przestrach w serce mnie się wkradł,
Kiedy nagle z szczękiem, z drzwi łoskotem,
Wprost do sali obcy rycerz wpadł.
Nikt go nie znał w sali,
A z tych co patrzali,
Każdy mocną trwogą zdjęty zbladł.

—

Miecz miał krwawy i posępną zbroję,
Kto go ujrzał, przestrach w duszy czuł,
Kto chciał mówić, wstrzymał słowa swoje,
Kto chciał spojrzeć, oczy spuścił w dół,
A on salę całą
Przeszedł prędko, śmiało,
I niezlękły zbliżył się przed stół.

I natychmiast wziąwszy bliskie krzesło,
Między nowożeńców wstawił sam.
Przerażenie wkoło się rozniesło,
I odjęło myśl i śmiałość nam,
Jak posągi z głazu,
Bez twarzy wyrazu,
Blady, zimny, każdy siedział tam.

—

A on długo, długo przy mnie siedział,
Jak ofiara czarodziejskich prób,
Ani słowa do mnie nie powiedział,
Jakby wróżek, jakby zaklęć łup,
Miejsca nie porzucił,
Oczu nie odwrócił,
Nieruchomy jakby jaki słup.

—

I był zamek głuchym jak mogiła,
Za czém sama północ jęła bić,
Wraz powietrze zgroza napełniła,
I wśród jęków psy zaczęły wyć.
Miłe wonie znikły,
Trupi swąd niezwykły,
Zaczął w sali wdzięk kadzideł ćmić.

Ciemno było, a jarzące świce
Tlały smętnie przez tłoczący dym,
„Kto bądź jesteś! Odsuń twą przyłbicę.“
Do rycerza rzekłam słowem tym.
Gdy on ją odsunął,
I hełm jak proch runął,
I kościotrup błysnął okiem czczym.

—

Westchnął, jęknął: „Kunegundo moja!
Czyż Rudolfa twego ani znasz?
To ta sama wiadoma ci zbroja,
Tylko rospacz zmieniła mi twarz.
Na wieść twéj niewiary,
W boleści bez miary,
Samobójcę teraz we mnie masz.“

—

„Przysięgałaś, gdyśmy się kochali
Pójść wraz zemną w ów nieznany kraj.
A więc wychodź z téj nam obcéj sali,
Bądź mi wierną i dłoń w dłoń mi daj,
Idź i przed porankiem
Połącz się z kochankiem,
Duchy nam okażą szczęścia raj.“

To wyrzekłszy, porwał mnie w objęcie
Martwych, zimnych, lodowatych rąk,
Duchy na me czekały przyjęcie,
Lekkie, blade, jak xiężyca krąg.
Ziemia się otwarła,
Przepaść nas pożarła,
Z przerażeniem niedociekłych mąk.

—

Lecz jak w nocy lecą nietoperze,
W noc za karę wracam na ten świat.
Na wzór innym żal wynurzam szczerze,
Aby odwieźć kochanków od zdrad.
Ta kara ustanie,
Gdy wierne kochanie,
Wzniecę skutkiem cierpień mych i rad.

VIII.

ŻONA DJABŁA.

Ongi Djabelek Puk był stróżem w piekle,
Palenie w piecach to był jego dział.
Raz w swojej służbie coś pominąć miał.
„Oh! łotrze! tak nań Szatan krzyknął wściekle.

Dziś śmierć najstarsza moja przyjaciołka,
Przysłała kogoś, który pasmem zdrad,
I złodziejstw swoich hańbił ludzki świat,
I nagle z ziemi w piekło dał koziołka.

Dla niego miałeś z piekła hutę zrobić,
Nieszczędząc smoły, siarki, ani drzazg.
Lecz gdzież leniwcze dawny piekła blask;
Niechce się tobie węgli przysposobić.

Ten niegodziejasz na wystygłym ruszcie,
Jakby w pościeli najwygodniej spał;
Mnie potém spiskiem z tronu zrzucić chciał,
Za to go teraz aż na proch ususzcie.

A ty żeś ognia nie strzegł mi ospalcze,
Z pięknych państw moich wychodź zaraz precz,
Na tamtym świecie życie nędzne wlecz,
Żebyś zaś karę srogą miał zuchwalcze!

Lat całe dziesięć żyj w małżeńskim stanie,
Wprzód wracać wara! bo ci skręcę kark.
Z którą chcesz wolno wejść ci w ślubny targ,
I psoć jak tylko masz upodobanie.“

Tak kazał Szatan. Puk wziął kij pielgrzyma:
I ruszył na świat, lecz do jakich ziem
Udał się naprzód, o tém ani wiem.
O tém w papierach moich słówka niéma.

Dość że gdzieś przybył. „Jeśli mam się żenić,
Rzekł, biednym diabłem niepodobna być;
Kobiety lubią stroje, lubią żyć,
Muszę grosz zebrać, już się trudno lenić.“

Szczęściem w tym kraju wzięto się do broni.
W Magazynjerów poczet wkradł się Puk,
Lecz z żalem dostrzegł z ich łamanych sztuk
Że i od djabła więcej znali oni. —

Przy nich jednakże nie źle się obłowił,
Skarbowi służąc zebrał piękny grosz,
Już się nie lękał że otrzyma kosz,
Więc się o żonę starać postanowił.

Z początku wprawdzie chciał się brać do ładnej,
I z nią podzielić łoże swe i stół;
Ale nieborak z gorzkim smutkiem czuł,
Że był zwyczajnie jak djabeł szkaradny.

Próżno świeżutkie i czerstwe jak jabłka
Widział dziewczęta. Nie do takich gron
Mógł się posunąć, musiał kwaśną cn
Wziąć pannę wprawdzie, lecz starą jak babka.

Zuzanną zwie się jego kochanica,
Za młodu była bystra jakby wir,
Żywa, porywcza, silna jako zbir,
W męzkiém ubraniu zuchwała dziewica

Od ojca wyszła gdzieś na wojnę krwawą,
Na każdéj bitwie ona wiodła rej;
Po wojnie naród uczcił powrót jéj,
Bo do stolicy wracała ze sławą.

Czczący ją młodzi tak nadskakiwali,
Jak gdyby na świat zstąpił jaki Bóg,
Cokolwiek rzekła, to powtarzał druk;
Obraz jéj ryto na drzewie, na stali;

Z gipsu, ze spizu popiersia jéj lano;
Wierszopisowie do niéj jakby w dym
Palili ody hojny sypiąc rym,
I składki złote przyniosły jéj wiano.

Jednak nie jeden bolał nad nią nieco,
Drugi już śmielszy robił sobie żart.
Trzeci rzekł w gniewie: Niechaj porwie czart,
Tę co porzuca wstydliwość kobiecą.

Dziewczę anielską winną słynąć chwałą,
I gospodarczo domu swego strzedz,
Nie jak sowizdrzał gdzieć po świecie biedz,
I stać się śmierci pomocnicą śmiałą.

Takto z kadzideł miłych bohaterce,
Po kilku latach został tylko dym,
Piękność jak wszystko poszła torem swym,
A przestarzałe zapukało serce.

Poznała wkrótce że już wyszła z mody,
Więc filozofki chciała zyskać cześć,
I słów kuglarstwem nad inne się wznieść,
Ale przestano pisać do niej ody.

Nikt kobiecego w młodości dragona,
Nie chciał za żonę. Cóż gdy przykry gość,
Starość przyniosła zmarszczki, swary, złość,
I kiedy z lichwy żyć zaczęła ona.

Lubiła tylko obmowę i kruszce.
W takim to stanie ujrzał ją nasz czart
Swój swego pozna, swój swojego wart.
I Puk podobać umiał się staruszce.

Został jéj mężem. W słodkim farniente,
W wygódkach wiek swój pragnął odtąd wieść,
Dostatków swoich nie chciał w domu grześć,
I przeszły krótko ledwie napoczęte.

Chciał tak żyć daléj. Cóż to, woła jędza,
Wstawaj próżniaku, leżysz jakby głąb'.
Idź przynieś wody, idź mi drzewo rąb.
I tak drapakiem z łóżka go wypędza.

Porwał się z złości. „Słuchaj czarownico!
Czy sobie myślisz że to ze mną żart.
Patrz! wskazał stopę, patrz, ja jestem czart."
I błysnął w gniewie ognistą źrenicą.

Lecz ona z głośnym śmiechem: „Nic nie wadzi"
Mówi, pałaszem wciąż płazując go.
On zmyka wziąwszy jakie płazów sto,
Wrzeszcząc: „Złej żonie zły duch nie poradzi."

Pod północ przybył do jakiéjś stolicy.
Zmęczony drogą i znużony snem,
Szuka gdzie domu zajezdnego. Wtém
Na samym skręcie szerokiéj ulicy,

Słyszy, ktoś djabłów czarami zaklina,
„Oto, Puk mówi, przybywam w sam czas.
Lecz jeśli człek ten chce pieniędzy z nas,
To niekoniecznie pocieszna nowina".

Wcisnął się zaraz w ciało muszki skromnéj,
Dziurką przy szybie do pokoju wpadł.
Starzec poważny pośród izby siadł
W czarnym płaszczyku, w peruce ogromnéj.

I jak wypada do czarów ubrany,
Niechcąc go straszyć Puk się przebrał tak
Jakoby niemczyk, w czarny, kusy frak,
I wpadszy woła: „Przychodzę wezwany."

„Witaj, rzekł starzec. Pożądanyś szczerze,
Jestem doktorem. Imie moje Gryp"
Że mi lekarski odbierają chléb,
Zmuszony jestem wejść z tobą w przymierze

Dzieciak zaledwie z Uniwersytetu,
Wyszły, wypędził z wszystkich domów mnie,
Dziś mojéj rady już nikt ani chce;
A przecież jestem dziekan Fakultetu.

Młody, przystojny, jak gołąbek tkliwy,
Pełen dla kobiet uniesienia, czci,
Zawrócił serca całej żeńskiej płci,
Wszędzie wołany i wszędzie szczęśliwy.

Aby go widzieć udają że chore,
A pulchną rączką młody Eskulap,
Gdy pulsu bada i u starych bab,
Jakby w gorączce bije tętno skore.

Na te choroby cudny ma mentalik,
Jam zeszedł z pola; lecz mi trzeba żyć,
Dla tego pragnąc wszelkich trosk się zbyć,
Wziąłbym na duszę jaki kapitalik.“

„Szkoda że tylko mam w kieszeni płótno,
Rzekł Puk, bo chętnie ten zastaw bym wziął.
Że i mnie smutek do żywego tchnął,
Więc zwalczmy razem fortunę okrutną.

Oto ja wejdę w jaką znaczną panię,
Gdy przyjdzie wtedy młody lekarz ów,
Musi uciekać jeśli chce być zdrów,
Bo zacznie działać moje opętanie.

Jéj ręką chwycę za trefione włosy,
  Będę go targał, szarpał, wzdłuż i w szerz,
  Jakby szalony, jakby dziki zwierz,
Aż musi zmykać krzycząc pod niebiosy,

Muszą cię przyzwać. Zaczniesz exorcyzma,
  Zawołasz: „Duchu, zaraz wychodź ztąd.“
  Wyjdę, a Pani gdy postrada błąd,
Nie jedno w rękę wsunie ci numizma.

Będą cię wszędzie przyjmować radośnie,
  Ja ci pomogę, wejdę znowu gdzie;
  Nasze kuglarstwa nie będą nam czcze,
Tak wkrótce sława i zarobek wzrośnie,

Choć Djabeł gołym jak turecki święty,
  Więc inny układ podać tobie mam.
  Dusza twa chuda mało o nią dbam,
Wolę iść na wpół o zarobek wzięty.“

„Niech i tak będzie, mówi doktór. Zgoda.
  Widzisz tych kolumn marmurowych rząd,
  Szczęścia naszego doświadczymy ztąd,
W tym domu mieszka wdowa już nie młoda

Już po czterdziestce, lecz bardzo bogata,
A romansowa jak w szesnaście lat,
Z całego serca ją bym skarać rad,
Z niéj poszła sława młodzika u świata"

Djabli po ciemku widzą jakby sowy,
I Puk choć w nocy znalazł ten sam dom,
Wpadł w ciało wdowy, wnet jak gdyby grom,
Huczy i krzyczy okropnemi słowy,

Bez czci, bez wstydu, aż uszy obraża,
A potém jęła kąsać, drapać, bić.
Nie mogąc trafić na choroby nić,
Po domowego posłano lekarza.

Myślał że przyjdzie, obaczy, zwycięży,
Niewiedząc wcale jaki w niéj jest muł.
Chciał pieszczotami ugasić jéj ból,
Lecz ta za włosy drze go coraz tężéj,

Przeklina wściekle, łży go opętana,
I policzkuje co ma tylko sił,
Zaledwie zdołał uciec, ledwie żył,
I drżący uczuł potęgę Szatana.

Wnet po starego posłano doktora.
Ledwie on przybył, ledwie znany głos,
Z zaklęciem ducha po sali się wzniosł,
Z ust chrząszczyk frunął, ozdrowiała chora.

Jak była wdzięczną za lekarstwo nowe,
Ani się nawet domyślała zdrad;
On z honorarjum swego tak był rad,
Że zaraz djablu odliczył połowę.

Odtąd strumieniem lało im się złoto,
Lecz kto ma wiele, ten więcej by chciał,
I dziś starego Grypa napadł szał,
Sam napchać kabzę leczonych szczodrotą."

Puk to zmiarkował. Długo kręcił głową,
Widząc że doktór chce go zbyć czem tém.
„Ej Grypsiu! rzecze, niebądź z bajki Lwem,
Dziel się rzetelnie jak zgoda połową.

Żebyś języka niepołknął przez chciwość,
I zysk twój wszelki nierozszedł się wproch."
Lecz Puk na ścianę próżno rzucał groch,
Zgasła w doktorze wszelka sprawiedliwość.

Dojrzało w Puku zemsty przedsięwzięcie.
I w ciało pani znakomitej wszedł.
Wezwano zaraz doktora, on wnet
Przybył i zwykłe rozpoczął zaklęcie.

„O ty“ Puk rzecze, „Chytrzejszy niż czarty,
Z twego zaklęcia nie będzie dziś nic,
Czyż ja mam tylko być jak marny widz,
Jak dla Bankiera darmo mięszać karty.

Cierpliwość wszelka odemnie uciekła,
Za nadto długo skubałeś mnie ty;
Musisz mi wszystko powrócić do krzty,
Inaczej razem pójdziemy do piekła.“

To rzekłszy chorą wściekłością przenika,
W doktora wpada, jak piorun, jak błysk,
Widząc że straszny już na niego ścisk,
Rostropny doktor jak kamfora znika.

W godzinę wchodzi do Pani służąca
I mówi: „Wszedł tu jakiś wielki drab,
Najszkaradniejsza z wszystkich w świecie bab;
Wszystkie w nas w złości łaje i roztrąca.

Mówi, że mąż jéj jakiś Puk z nazwiska,
Uwiodł ją, zdradził, i porzucił ją,
Chce go więc zabrać jako własność swą,
I jakby jędza po izbie się ciska.

Klnie się, że mąż jéj tu się gdzieś ukrywa.
Ma też i z sobą jakiś długi miecz,
Chce wszystkie wybić, wszystkie wygnać precz,
Że go zabije wrzeszczy niegodziwa."

Jeszcze mówiła, gdy w tym drzwi wybija,
Ów straszny babski zakwefiony smok,
Brzęczy pałaszem, i wreszcie co krok
Pyta się: „Gdzie on" i mieczem wywija.

Zaledwie wpadła, już z ust opętanéj
Frunął chrząszcz czarny. Ta krzyczy: „A tuś!
Poczkaj no! Ostrzem przebije cię wskróś.
Ale przy szybce chrząszczyk niewidziany.

Wymknął się dziurką. Gdy znikł całkowicie,
Baba kwef zdjęła. Był to doktor Gryp.
Pozbył się diabła w ten dowcipny tryb.
Bo raz mu wyplótł Puk o swej kobiecie.

Dziś tego użył nasz doktor uczony,-
A Puk wpadł w piekło; wolał bowiem on,
Dostać się nawet przed szatana tron,
Niżeli w ręce swéj kochanéj żony.

IX.

KOSZ.

Tu pisarz był na Rogatkach,
Wielki figlarz i niestatek,
Kochał się w pannach, w mężatkach,
Na postrach mężów i matek.

Chcąc złowić lube uściski,
Przyrzekał ślubny pierścionek,
Lecz zrzucał pierścionek śliski,
Gdy wszystko miał jak małżonek.

W podobnem raz przedsięwzięciu,
Po ciemku stał gdzieś na czatach,
Myśląc o pięknem dziewczęciu,
Zaledwie w pietnastu latach.

Nie zważał na dżdże i burze,
Na katar ani kasłanie,
Aż mu z okienka na górze,
Przyjemne przyszło wezwanie.

Dziewczę z twarzyczką Anioła,
Zabłysło w hożej postawie.
„O perło dziewic! on woła,
Do siebie wpuść mię łaskawie.“

Głos odrzekł: „To nie w méj mocy,
Bo klucz u ojca jest właśnie,
Mój drogi! przyjdź o północy,
A może ojciec mój zaśnie.

Seladon w duchów godzinie,
Cichutko stanął przy domu;
W tém kosz wiszący na linie,
Z okienka spadł po kryjomu.

I grzecznie na nowy balon,
Wskazuje luba dziewica.
On chociaż szczerze zapalon,
Rzekł: „Wszak ma drzwi kamienica.“

Głos na to: „U ojca od niéj,
Jest dzisiaj klucz pod poduszką.
Chcesz przenocować wygodniéj,
To powróć na własne łóżko.“

Lubo mu nie wsmak przypada.
By się koszowi powierzyć,
Lubo go jątrzy ta rada,
Nie chciałby do domu bieżyć.

Więc już nie waha się dłużéj,
Wchodzi w uplecione ściany.
I sobie do téj podróży,
Sam szczęścia życzy stroskany.

Z siłą kosz w górę wciągniony,
Jak balon Mongolfijera,
Przez okna i wyższe strony,
I prawie nad dach się wdziera.

Lecz cóżto nagle się stało,
  Kosz z góry aż na dół leci!
Czy się co w górze zerwało?
  Spadł nagle na kupę śmieci.

Wnet światło w oknach w około,
  Zabłysło jakby z niechcenia,
I całą noc tę wesoło,
  Smiano się z tego zdarzenia.

I ztąd iść miało przysłowie,
  Wiem od pewnego siwosza,
Że komu panna odpowie,
  Mówią że dostał od kosza.

X.

JAN I KASIA.

POWIEŚĆ.

„Wesoły, zdrów, jak lekki ptak,
Przelatam tak,
Czy miasta, czyli wioski,
I cały świat
Przeglądam rad,
Bom młody, bom bez troski.

Ja nie mam nic, a więcej mam
Jak Krezus sam;
Bo na czém mam przestaję.
Sumienie mi,
Nie burzy krwi,
I serca mi nie kraje.

Ja niedbam, by mieć znaczną włość,
Lub w skarby rość,
Żyć z lubą w chatce skrzętnie,
To dla mnie dość,
A zawsze gość
Przyjętym będzie chętnie."

Tak konno przebywając las,
I śpiewem czas
Skracając, Jan się bawił.
W tłomoczku swój
Miał skarb, co wuj
W zapisie mu zostawił.

Sarneczce równe drogą tą
I dziewcze szło,
Jak trzcina hożo wzrosła,
Przechodząc gaj,
Kosz spory jaj,
Na głowie swojej niosła.

Nasz Jan mijając dziewczę, wzrok
Raz rzucił w bok,
I uczuł niespodzianie,
Jak silnie wrzał,
Miłości strzał,
Głęboko w serca ranie.

—O piękne dziecię! gdzie tak? gdzie?—
—Do miasta chcę.—
—Więc pójdziem z sobą społem.
Dla dwojga nas,
Skróci się czas,
Mnie miło iść z aniołem.—

—Mój grzeczny Panie! ruszaj sam.
Ja pilno mam,
Tyś zły towarzysz drogi,
Ubiegłbyś mnie,
Bo ja mam dwie,
A ty aż cztery nogi.—

Zeskoczył z konia młody zuch,
—Otom na dwóch,
Zrównalim się w tej dobie,
Lecz chciałbym wprzód,
Siąść tu gdzie w chłód,
I spocząć gdzie przy tobie.—

—Dobrze mój Panie! Zrób ty tak,
I siądź pod krzak;
Bo mnie, to spieszno w drogę.
Dziś piękny grosz,
Za jajek kosz,
Na targu zebrać mogę. —

—Mnie przedaj wszystkie; dam ci ja
Dukatów dwa,
Lub trzy, gdy dwa za mało.
W tłomoczku tym,
Po wuju mym,
Ich tuzin się zostało. —

—Podajesz Panie piękny grosz,
Lecz Kasia kosz
Swym kupcom zanieść musi;
I wierzaj mnie,
Że złoto twe,
Do złego mnie nie skusi.—

—Że też ty zaraz myślisz tak,
Zupełnie w spak,
Gniewasz mnie podejrzeniem.
Obrazę tę,
Przypłacisz mnie,
Choć jednem uściśnieniem.—

To mówiąc, lejce puścił wstecz,
—Precz Panie! precz,—
Krzyknęła, skacząc z drogi.
I w chwili téj,
Kosz cały jéj,
Padł z trzaskiem mu pod nogi.

Spłoszony koń na Kasi wrzask,
I na jaj trzask,
Zbiegł w gaj, gdzie złodziéj czekał,
I z trafu rad,
Na konia wsiadł,
I zaraz w cwał uciekał.

—Stój, stój, co sił Jan woła, stój!
O koniu mój!—
—Nie przy mnie skarż się Panie,
Boś ze wszech miar,
I gorszych kar
Wart za napastowanie.—

—Sama się z sobą Kasiu kłóć,
Ani mnie smuć,
Wszystkiemuś sama winną,
Masz twarz jak kwiat,
Dla tegom rad,
Całować cię nie inną—

—Gdybyś nademną litość miał,
Ten pusty szał
Porzuciłbyś, wiedz bowiem,
Że matkę mam,
Cóż chorej dam,
Przez litość nad jej zdrowiem?—

—O biedne dziecię! Chętniebym
W nieszczęściu twym
Dał krew i całe mienie,
Lecz tylko sam,
Wesołość mam,
I czyste to sumienie.

Ah! Przebacz. Wiem, żem kary wart,
Za śmiały żart,
Lecz już się lepszym stanę,
Za stratę twą,
Przyjm serce to,
Przyjm serce to w zamianę.

Ja kocham cię, i kochać cię
Na zawsze chcę,
Przyjm z sercem rękę społem,
I pozwól mi,
Szczęśliwych dni,
Dokończyć z mym aniołem.

Ah! zezwól już, a związek nasz,
Gdy praca w straż,
I cnota przyjąć raczy.
Tak będzie wiek,
Nam miłe biegł,
Jak nigdy u bogaczy.

I będziem ten obchodzić dzień,
Choć wszystko weń
Zginęło, kosz jaj tobie,
Mnie koń i rząd,
Lecz przyjdzie ztąd,
Że będziem żyć przy sobie. —

Wciąż myśli Kasia, milczy wciąż,
Lecz przyszły mąż
Podobał się w chłopaku.
—No! rękę daj,
Za koszyk jaj,
Przyjmuję cię pustaku.—

W ich ślubnym związku zgodnie wiek,
I słodko biegł,
Bo tam gdzie z cnotą wzajem
I miłość trwa,
Tam serca dwa
Już ziemię mają rajem.

XI.

STRACH W PAROWIE.

Już półkopy talek mam,
   Chcę je odnieść naszej Pani,
   A zaś jutro jak najraniej,
Nową przędzę wezmę tam.
   Możesz mężu smacznie spać,
      A z przędziwem,
      I grosiwem,
Wrócę nim kur zacznie piać.

„Kaśko! Przędzy dziś nie noś,
Bo noc widzisz jest szkaradna,
Nie poświeci gwiazda żadna,
A w parowie straszy coś.“
Ej mnie nie tknie żaden pies,
A pacierza,
I szkaplerza,
Będzie bać się i Pan Bies.

Trzymał ją za kieckę mąż,
Ale Kaśka się wyrwała,
A uparta i zuchwała,
Do parowy biegła wciąż,
Przy zarośli zdjął ją strach,
Więc pacierze
Klepie szczerze,
Postępując zwolna w pniach.

Wreszcie naprzód kroków trzy,
Nieco śmielsza się wysuwa,
Kiedy nagle szmer poczuwa,
I już całem ciałem drży.
Drży jakby osiki liść,
Widząc wryty
Strach jak wbity,
Także niemogący iść.

Zmierzył ją od stóp do głów,
Z oczu jego ogień błyska,
I w ciemności iskry ciska.
Kaśka drży z przestrachu znów,
Stoi jakby kto ją zkół,
Tak się boi,
Strach też stoi,
Stoją tak przez nocy pół.

Gdy na niebie błysnął świt,
Jak się stało Kaśce słodko,
W strachu widzi babkę z kotką,
Obie równy miały wstyd,
Oczy im się z złości skrzą,
I przy sobie,
Mrucząc obie,
Poszła każda w stronę swą.

XII.

STARY PIJAK

DO

STAREGO SWAWOLNIKA.

Szpakowaci siądźmy sobie,
Przy nadreńskiém winie
Nieprzystoi mnie, ni tobie,
Myśléć o dziewczynie.
Każdy wiek ma swoje pole
Gdzie dni w szczęściu płyną,
Młodzi miłość i swawolę,
Starzy mają wino.

Lecz naturze na przekorę,
Starzeć ci się niechce,
Zrywać kwiatki choć nie w porę,
Jeszcze myśl cię łechce.
Jakby młodzik patrzysz, wzdychasz,
Gonisz za nadzieją,
Ty do dziewcząt się uśmiechasz,
Te się z ciebie śmieją.

Już świat zmądrzał mój kolego,
Optyki uczeniem,
Wiedzą teraz i dla czego
Cień jest tylko cieniem.
Gdy natura chce do pary
Równe z równym dobrać,
Chciej więc lepiej i ty stary
Stare wino obrać.

Gdy się starzec musi zarzec
Pieszczot i swawoli,
Za kochankę obierz szklankę,
Pieścić się pozwoli.
Wino, lody krwi roztopi,
Troski z serca spłoszy,
Gdy się starzec winem skropi,
Marzy o roskoszy.

XIII.

WESOŁE ŻYCIE.

NAŚLADOWANIE.

(na nutę: *Propositum in taberna mori.*)

Mój braciszku porzuć kwas,
Pijąc słodkie wino,
Przy biesiadzie niechaj z nas,
Wszystkie smutki giną.
Zerwij troski z piersi twych,
Dowcip, radość, szczerość, śmiech,
Niech z kielicha płyną.

Musi nieraz znosić człek
Czegoby nie życzył.
Taki to od przodków wiek,
Świat nasz odziedziczył.
Każdy jednak przyzna mi,
Że choć parę błogich dni,
W życiu swojem liczył.

—

Wino jest to istny cud,
Łyknij że go ino,
A choć zimne jako lód,
Rozgrzeje cię wino.
Wino jest rozumnych typ,
Napój ludzki, bo dla ryb
Wody tylko płyną.

—

Wodzie także składam cześć,
Kręci młyńskie koła,
I z dalekich krajów nieść,
Ciężkie statki zdoła.
Lecz kto wesołości rad,
Ma pić wino, w wina ślad
Spieszy myśl wesoła.

Gdy Bóg świat ukarać chciał,
Jak mówi podanie,
Dni czterdzieści wodę lał,
Ludziom na skaranie.
Lecz gdy wesół był nasz Pan,
W wino zmieniał wody dzban
W Galilejskiej kanie.

XIV.

PRZYGODY
PASTORA SZMOLKA I NAUCZYCIELA BAKLA.

„Ej! Ej! błądzimy! Jajko chce
Być mędrsze niźli kokosz.
Idź wprawo, przestrzegałem Cię,
Lecz ty podniosłeś rokosz.
O biada Baklu! Ciemna noc,
Doznamy dziś przypadków moc.“—

„*Hic haeret aqua.* Panie! Stój!
Zgubienim bez nadziei„.
Choć się nie lęka sługa twój
Ni wilków, ni złodziei,
Wieszcz mówi: „*Purus Sceleris*
Non eget Mauri jaculis.“

„Bodajby cię i wiersze twe
Miał czart, a jam był w puchu,
Gdy w strachu tym a tobie się
Chce jeszcze żartów zuchu!
Lecz patrz światełko błysło tam,
Iść na nie wprost wypada nam.

„*Cur non mi Domine!* Jak Paź,
Za tobą pójdę wszędzie.
I pewnie tam piekielny kniaź
Stolicy mieć nie będzie.
A może tej chałupki Pan,
Zastawi nam choć piwa dzban.“

Szedł Pastor w Bakałarza ślad,
Ku światłu wprost z ciemnoty,
Lecz cóż to był za duch, co rad
Wyprawiał im te psoty.
Tym duchem był to wina dym,
Przy stypie zbyt zaszumiał im.

Nakoniec weszli w chatkę tę,
Gdzie chłop bez gościnnosci,
Przed nimi ledwie powstać chce,
I zimno wita gości:
„Czyście na nocleg przyszli tu?
Możecie wprawdzie użyć snu.

Pościeli jednak u nas brak,
Bo biednych los wiadomy,
No! mówcie prędzej, tak czy siak,
Ja niemam nic prócz słomy.
Otworzę na poddasze wam,
I czystej słomy pęczek dam.“

Spoglądał Pastor na swój brzuch,
Jakby się chciał go radzić,
„O tłusty brzusiu! Już nie w puch,
Chcą w słomę cię posadzić.“
Lecz Bakiel rzekł: „Z posłaniem pil,
„*Perfectum est sub sole nil.*“

Powiedział tak i było tak,
I choć się Pastor smucił,
Przecież nareszcie gdzieś na hak,
Peruczkę swą zarzucił.
I potem biedak rad nie rad,
Na twardą słomę smutno padł

Od gospodarzy dzieli ich,
Z całówek przepierzenie;
Zaczęło wznosić jedno z nich,
Pobożnych pieśni brzmienie.
A potém w łóżku szepcąc wciąż,
Tak do swéj żony mówił mąż:

„Zakolę ja tych czarnych dwóch,
Jak tylko noc odpuści,
Już im potężnie kałdun spuchł,
I oba walnie tłuści,
A zwłaszcza starszy jakby pąk.
Zakaszę dobrze jutro rąk.

Uczciwszy uszy, wieprzów swych,
Rozumiał rzeźnik stary;
Lecz strach myśl inną wiódł z słów tych,
Dla drugiej czarnéj pary.
I obu razem napadł szał,
Że ich gospodarz zakłuć chciał.

„Hej Baklu! Spiszże! Słyszyszże!
Co okrutnego serca
O świcie z nami zrobić chce,
Ten zbój, ten ludożerca.
Oto przeklęty jakiś kąt,
Niechby choć z życiem uciec ztąd.“

„*Proh dolor!* Lecz nie prędko ja,
W Charona łódź się wmieszczę,
I tobie też *convivia*,
Zokrąglą brzuszek jeszcze.
Zwróć *oculos*. Jest okno tam,
Skok jeden da zbawienie nam.“

„Może tak lekki jak ty ptak,
Dać tu *salto mortale*,
Lecz z memi kośćmi to nie tak,
Niezliczyłbym ich wcale.
I gdybym spadł, o Boże broń,
Byłoby gorzej niźli w toń.“

Niedał się Bąkiel z toru zbić,
Nie puścił się wymowy,
Ująwszy argumentów nić,
Przypuścił attak nowy.
Wreszcie się Pastor skłonić dał,
Że z okna tego skoczyć miał.

Pytanie jeszcze o to szło,
Kto pierwszy z nich wyskoczy?
Ten mówił tamto, tamten to,
Sprzeczką się długo toczy.
Aż wreście *Baccalaureus*,
Uczynił z okna pierwszy szus.

I upadł, *salva venia*,
Na gnoju górę miękką,
I czuł, że się bez bólu da
Ruszyć nogą i ręką.
A w tym nań upadł Pastor sam,
Jak gdyby jaki skały złam.

I chociaż Bakiel dzielnie klął,
Ta skała ani słucha,
Zaledwie drogę skrytą wziął,
Aż pod tunelem brzucha.
Lecz próżno wciąż dokładał rąk,
Pastora ledwie podniósł drąg.

I ciemno było i deszcz lał,
Strumieniem ciągłym z dachu,
A tu we wrotach zamek tkwiał,
Na domiar trosk i strachu,
Którędy wyjść? gdzie się tu skryć?
Znikła ostatnia ratunku nić.

Widząc jak całą nieszczęść moc
Los na nich wywarł, w duszy
Już tylko chcieli choć tę noc,
Przepędzić jeszcze w suszy.
Z żądaniem skromnem, kto wznosi głos,
Takiego nieraz wysłuchał los.

Ich téż przypadek w miejsce wwiódł,
Gdzie spoczywały słodko,
Te zwierza, których mać, nasz lud,
Zwie pewnych ludzi ciotką.
Ręczę iż teraz każdy wie,
Że ja o wieprzach mówić chcę.

Husz! husz, wypadły wieprze dwa,
Przez drzwiczki uchylone,
Tam nasza para schronienie ma,
Przez tamtych opuszczone.
Z czułością serca ściskają się,
I każdy dodać odwagi chce.

„Zważ dobrze Baklu, czem jest grób,
Bramą do lepszéj ziemi.
Śmierć niszczy jakby jeden łup,
Tron z sakwy żebraczemi.
Los może lepszy spotka cię,
Nie będziesz uczył A. B. C.“

„Dobrze łacinnik mówi to:
Si hora mortis ruit,
Tunc is fit Irus subito,
Qui modo Croesus fuit.“
Tak rozmawiali, aż tu brzask,
Aż tu zabłysnął słońca blask.

W tem nagle się roztwarły drzwi,
A ludożerca znany,
Z zapałem wchodzi chciwy krwi,
I ostrzy nóż u ściany.
„Wychodźcie czarni, czas już, czas,
Ten nóż ze świata zgładzi was.“

I w prawej ręce niosąc broń,
Za wieprza lewą chwytał,
Lecz jakby o co sparzył dłoń,
Zębami z trwogi zgrzytał,
Gdy uczuł w ręku Bakla but,
Zawrzasnął: „Cóż to strach, czy cud.“

Wesoły traf, tak smutny błąd,
Cierpiących braci przeszył.
I gdy swój porzucili kąt,
Gospodarz sam się cieszył,
I długo trwał ich wszystkich trzech,
Z obawy próżnej pusty śmiech.

Odchodząc każdy z nich się klął,
Że zachowa milczenie,
Lecz gdym Pastora na obiad wziął,
Gdy sarnią zjadł pieczenie,
Tak sobie dzielnie nalał w czub,
Że złamał swój milczenia ślub.

XV.

PIĘKNY OWOC.

Anna' której brak tylko szponów, chwostu, skrzydeł,
By ją umieścić w rząd pierwszy piekielnych straszydeł,
Ciągle truła dni męża przez swą złość i sprzeczność,
Przecięż w ostatku miłą zrobila mu grzeczność,
Że pędząc do ogrodu niewstrzymana w gniewie,
Za szyję się na pierwszem powiesiła drzewie.

Nazajutrz do ogrodu skoro błysnął dzionek,
Wyszedłszy, ujrzał z zgrozą wiszącą małżonek,
Sąsiad, którego także przywiązała stuła
Do baby, co mu życie nieustannie truła,
Rzekł przez płot do kolegi: Patrzę się zazdrośnie
Że taki piękny owoc na drzewie ci rośnie.
Daj zrazów z tego drzewa, zaszczepię w mym sadku,
Abym się z podobnego ucieszył przypadku.

XVI.

CZŁOWIEK SŁOMIANY.

Ojcze chrzesny! Ładne masz czeresnie,
Lecz się do nich zlata wróbli rój,
Wszystkie zdziobią i zniszczą zawcześnie,
A nam prochu brak już Ojcze mój.
Powiadał mi nie pamiętam kto,
Że człek z słomy dobrym jest dozorcą.
Więc parobkom pozwól zrobić go,
Bo szkodniki już mnie mocno korcą.

Rób jak chcesz, kochanko, wychowanko,
Stary rzekł, lecz dobrze na to zważ,
By człek z słomy straszył, bo kochanko,
Bezskutecznym byłby wymysł nasz,
Niech ogrodnik da' mu w rękę pręt,
Lub grzechotkę lub jaki wiatraczek.
Tak to będą mieć od niego wstręt,
A inaczéj siędą jak na krzaczek."

Człek słomiany straszył wkrótce w sadzie,
I wiatraczkiem ciągły robił szum,
Zrazu z trwogą téj niezwykłéj zdradzie,
Przyglądał się zdala ptaków tłum.
W tym wiatr ucichł i wiatraczek stał,
Zbiegł się ptaków rój mniéj bojaźliwy,
Umykali jeszcze gdy wiatr wiał,
Bo wiatr nieraz robi wielkie dziwy.

O jak głupi człowiek ten słomiany,
Rzekła Zosia, stoi jakby kloc,
Nieodstrasza swojemi łachmany,
Jeszcze większa zlata wróbli moc.
To przysłowie może sprawdzi się,
Że to nieraz suknie robią ludzi,
Więc na próbę dziś go ubrać chcę,
Może w sukniach prędzéj ptastwo złudzi.

W dzień nieśmiała, więc aż nad wieczorem,
Nasza Zosia poszła prędko w sad.
Dwie godziny zeszły nad ubiorem,
Z czego wcale chrzesny nie był rad,
„Ej dziewczęta u was tylko strój
Jest na myśli, zawsze stroić chcecie,
Dziś za długo ten słomiany twój,
Zajął ciebie drogie moje dziecię.

„Długo wprawdzie, ale też to trudno,
Stroić kogo gdy już ciemno tak,
Każda praca bywa wtedy zmudną,
Zawsze tego lub owego brak.
I jeżeli mam ukończyć strój
Słomianego, to dziś nad wieczorem,
Pójdę znowu, ale za to mój
Ten słomiany będzie wsystkich wzorem.

Śmiał się chrzesny, jednak po zachodzie
Zosia znowu wymknęła się w sad,
I dozorcy wisienek w ogrodzie,
Długo pewnie dobierała szat,
Bo na późny powrót chrzesny klął.
Lecz i klęcie nieodstraszy Zosi,
A nazajutrz ledwie zmierzch się wszczął,
Ona znowu w ogród się wynosi.

3.

Tęsknił bez niéj bo nudził się stary,
I do siebie sam rzekł słowa te:
„A jużże też trudna rzecz do wiary,
Słomianego woli niżli mnie.
Pójdę zaraz, a jeżeli ją
Znajdę jeszcze przy tym czupidrale,
To na dobre pokłócę się z nią,
I nazajutrz jéj Bożyszcze spalę.

Bał się rosy, czapkę więc na głowę
Wziął a w rękę swą podporę kij,
Cicho furtką w kwatery wiśniowe
Szedł, gdzie myślał widzieć prace jéj,
Przy Xiężycu postrzegł Zosi twarz,
Całowała słomianego chłopca,
A że w tém kichnął starzec nasz,
Znikła w sadzie skrytych przejść nie obca.

Nie pomyślał gonić za swą chrzesną,
Ale czemprędzéj wprost do celu szedł,
Tajemnicę jakkolwiek bolesną,
Chciał przy ptasim strachu poznać wnet,
Lecz o dziwy! Strach ten niedrganic,
Jak mur stał; nasz stary patrzy, czeka,
Idzie bliżéj, nagle z miejsca hyc
Strach słomiany i co tchu ucieka.

Starzec zbladł i stanął z przerażenia
Wkrótce gniew przytomność wrócił mu,
Postanowił szczuć go jak jelenia,
Krzyknął głośno: a tuś czarcie tu!
Zadyszany z całej siły gnał,
Jakby młodzik śmiałe czynił skoki,
Już do furtki mały kawał miał,
Gdy w tém nagle wpadł na jakieś zwłoki.

Westchnął, jęknął, klął gdy się przewracał
Lecz gdy wstając od głowy do stóp
Upadłego dokładnie obmacał,
Doszedł przecie kto to był ów trup.
Ale jego opłakiwać zgon
Nie myślał, choć to był znajomy,
Bo w trzech słowach mówiąc, że trup on,
Był istotnie Zosi człek ze słomy.

" Eh! do kata! Co się stało z strachem,
Rzekł nasz chrzestny, poznam ja to wnet,
Więc do domu poleciał z zamachem
I ze złością aż trzęsąc się wszedł.
Zośka cicho jakby nigdy nic
Z nią niezaszło, wciąż przy kółku przędzie,
Teraz na nią patrząc rzekłby widz
Że ta inną rolę już grać będzie.—

O ty którą przed szesnasto laty
Do chrztum trzymał i wychował rad,
Jak okropne mam dziś z ciebie straty,
Widząc w tobie takie pasmo zdrad.
Któż to jest ten twój słomiany człek,
Co go żywy a nie mógł dogonić?
Wyznaj zaraz, lub na cały wiek
Znać cię niechcę, bo muszę cię stronić.

Ojcze daruj lub ukarz, masz władzę,
Lecz na młodość i na miłość bacz,
Nim kochanka mojego ci zdradzę,
Jeszcze chwilę cierpliwym być racz.
Gdy gniew pierwszy co w twém sercu wre
Zwolna zgaśnie, może w owéj dobie,
Miłość moja i przygody me,
Nie tak płoche okażą się tobie.

Wszystko wyznaj! lub precz.—Niewiem kogo
Takby los twój jak mnie kiedy tknął,
Aby ciebie sierotę ubogą,
Z przywiązania za swe dziecię wziął.
Jam cię kochał, jam przeznaczał ci,
Co mam wszystko i błogosławieństwo,
Ty ojcowskie zakrwawiłaś dni,—
Nie płochością zyska się małżeństwo.

Jeszcze mówił; już ktoś do drzwi pukał,
To sąsiada był jedyny syn.
Stał nieśmiało jak gdyby słów szukał,
Rzekł nakoniec: „Za mój płochy czyn,
Niekarz córki. Zszedłeś nas w zły czas,
Lecz złej myśli w miłości nie było,
Więc łaskawie pobłogosław nas,
I za żonę daj mi Zosię miłą.“

„W to mi graj, rzekł starzec ucieszony,
Masz się nieźle.—Szczęście Zosi zrób,
Ale pocóż były te androny,
Gdy istotnie chciałeś zawrzeć ślub.
Lecz słomiany człeku zaręcz mi,
Że twa miłość nie będzie słomianą
Bo to słoma nie długo się tli,
Będzież Zosia na zawsze kochaną?“

3.

XVII.

STOLARZ W WARSZTACIE.

STOLARZ *(sam)*.

Bogu dzięki wstałem zdrów,
Do warsztatu mogę znów,
Jak codziennie iść z ochotą;
Niech o łaskę próżniak dba,
Mnie rąk praca życie da,
Mnie to drzewo zmienia w złoto.

SĄSIAD.

Jak się masz sąsiedzie mój,
Bóg mi dzień upiększył,
Dziś aniołków moich rój,
Jednym się powiększył.
Synka mamy z łaski nieba,
Więc kolebki nam potrzeba.

STOLARZ.

Szczęść ci Boże!
Synka łoże
Wkrótce zbić pospieszę;
Niech radośnie
W nim wyrośnie,
Ku waszéj pociesze.

SĄSIAD.

Daj to Boże!

STOLARZ *(sam)*.

Któżby stolarskie ganił rzemiosło?
Ledwie nas życie na świat przyniosło,
Już człowiekowi stolarz potrzebny;
Już mu maleńką robi zaciszę,

W której się lekko do snu kołysze.
Gdy wiek młodości minie pochlebny,
Wtedy go porwą losowe burze,
Jak chorągiewką kręcąc na górze,
Los go po świecie przepędzi zmiennie,
I nieraz noce strawi bezsennie.

MŁODZIENIEC *(wchodzi)*.

Niech cię uściskam mój przyjacielu!
Jam w raju, w szczęściu, u życzeń celu.
A stałość moja, i miłość szczera,
Już zezwolenie ojca odbiera.
Elżunia moją jest narzeczoną,
I wkrótce zostanie żoną.
Na blizki ślub,
Łoże nam zrób.
Okaż w pracy téj,
Cuda sztuki twéj.

STOLARZ.

Mając, rozkaz twój na względzie,
Dzieło mistrza chwalić będzie.

MŁODZIENIEC.

Niechaj tylko krótko trwa,
Bo czas dla mnie skrzydła ma.

STOLARZ *(sam).*

Dla miłości czas ma skrzydła,
Ale nienawiść obrzydła
Ślimaczemi lezie nogi.
Któż przeniknąć serca zdoła?
I skłonności wątłe koła,
Pękną nieraz pośród drogi.
A czas dla małżonków wtedy,
Snuje tylko z wątka biedy.
Tém jest miejscem ślubne łoże,
W którém raj zakwitnąć może.
Lecz częściéj piekielnych kar,
Niszczący w nim płonie żar.

KOBIETA *(płacząca).*

Zostałam wdową! Śmierć nielitościwa,
Dobrego mego po długiéj niemocy,
Z objęcia mego wyrywa,
Spokojnie w Bogu usnął on téj nocy.

STOLARZ.

Błogo mu, błogo cnotliwemu w niebie!
Po jego stracie żal mi tylko ciebie.

WDOWA.

Zrób jemu trumnę. Mnie na siłach zbywa,
Mówić co więcej. O ja nieszczęśliwa!

(odchodzi).

STOLARZ *(sam).*

Kolebko! i ślubne łoże!
Dziś trumnie pierwszeństwo dajcie,
Wszechwładztwo śmierci uznajcie.
Nic opór tu niepomoże.
Śmierć gasi pochodnię życia,
I okropnością gnicia,
Przymusza smutek głęboki,
Złożyć ukochane zwłoki,
W miejsce wiecznego ukrycia.

Traf ten dla mnie jest pociechą,
Bo mi dał doczekać on,
Że się życie, miłość, skon,
Dziś pod moją zeszły strzéchą.
Jakiemuż rzemiosłu los,
Tę przestrogę w oczy stawi,
I czyj warsztat tak objawi,
Przeznaczenia święty głos?

Miłość cuci życie młode,
Buja skrzydła radosnemi,
Jak słoneczny blask w pogodę;
Potem ciężkie szaty ziemi
Składa w zimną skrzynkę skonu,
Aż u Przedwiecznego tronu.
Z jego łaski biorąc dzielność,
Rozpromieni w nieśmiertelność.

XVIII.

ZIĘĆ WINIARZA.

Dobre wino pan Jan lubił,
Więc jedynie miał na oku,
By bogatą gdzie poślubił,
I mógł spać przy wina stoku,
Uważając tylko na to,
Ożenił się z Małgorzatą,
I to słusznie jeśli zważem
Że jej ojciec był winiarzem.

Panna, była gospodarna,
I nie tak jak inne płoche,
Ale brzydka, chuda, czarna,
Zła porządnie, głupia trochę.
Przestrzegali spokrewnieni,
Że się z djabłem Jan ożeni,
Lecz on stanął przed ołtarzem,
Bo... jéj ojciec był winiarzem.

Mile ojciec Małgorzaty,
Przyjął jego oświadczenie,
Niepotrzebne były swaty,
Dano zaraz zezwolenie,
Na weselu narzeczony,
Został z gośćmi uraczony,
Dobrą kapką i maślarzem,
Bo teść jego był winiarzem.

Lecz po ślubie tylko lurę,
I to rzadko mu dawano.
„Coś próżniacką masz naturę"
Mówił ojciec: „Wstawaj rano.
Pracuj dobrze, a w piwnicy,
Niewypróżniaj wciąż szklanicy,
Bo cię za to dobrze sparzem,
Wierz mi, jakem jest winiarzem."

Musiał gościom nasz małżonek,
Służyć jak zawołał który;
A gdy przecie zgasnął dzionek,
Dostał małą lampkę lury.
„Niewytrzymam, bo pragnienie
Dokucza mi nieskończenie.
Żono lej, bo się poswarzem,
Wszak twój ojciec jest winiarzem.“

Niechciał gościom dalej służyć,
Takim skąpstwem oburzony.
Lecz do gorszych wnet nadużyć,
Przyszło z strony jego żony.
Raz, a wszyscy to widzieli,
W łeb mu dała kałamarzem,
Jeszcze goście go wyśmieli,
Bo jej ojciec był winiarzem.

Ten przypadek się rozsławił,
Śmiano się z biednego Jana.
„Dobrze mu tak“ każdy prawił,
Słusznie chciwość jest skarana.
Znał piękniejsze, lepsze panny,
Lecz był o grosz zbyt staranny.
Kupił biedę przed ołtarzem,
Bo teść jego był winiarzem.

XIX.

KOMORNIK I RUDY PŁASZCZYK.

Sprawiedliwości gończy pies,
Komornik z dawnych lat,
Zgromadził grosz z biednego łez,
I skarby z ludzkich strat.

Miał on tysiączków blisko stu,
I kamieniczkę swą;
Jednego skarbu brakło mu,
Co to sumieniem zwą.

Litości nieznał djabła kmotr,
Zimniejszym był od skał,
Gdy z biednych, piórkiem swoim łotr,
Koszulę zdzierać miał.

Raz stary lichwiarz przyzwał go,
I rzekł mu słowa te:
We wsi pobliskiej złotych sto,
Rzemieślnik winien mnie.

Muszę się rozstać z sumką tą,
Bo chłopa dam ci szkic;
Ma dziatek pęk, lecz z tego co
Da się w grosz zmienić? nic.

Tobie samemu przyznam się,
Niestratnym, widzi Bóg,
Bo procentami już on mnie
W trójnasób spłacił dług.

Lecz szkoda sumki, niech mi ją
Zapłaci jego strach.
Niech mi ją odda własną krwią,
W cierpieniach, żalu, łzach.

Masz tu na stępłu pełną moc,
Czémprędzéj spiesz na wieś,
I nim zapadnie bliska noc,
Do kozy chłopa weź.

Jakby to zrobić, dobrze bacz,
Nieczułą ułoż twarz,
Na żony jęk, na dzieci płacz;
Już wiesz co czynić masz.

Niemłodzikeś do tkliwych scen.
Zapłacę, lecz się żwaw.
Tu wexel jest. Interes ten
Spełń z całą mocą praw.“

„Oh! rzekł komornik, ufaj mnie!
Wszystkiemu radę dam,
Niezajdzie słońce, a noc tę
Przepędzi w wieży cham!“

Zapiął kapotę, i co tchu
Do wsi pobliskiéj gnał,
Tylko się nogi migły mu,
Tak żywo pędził w cwał

Kiedy tak skorym krokiem biegł,
I wszedł w pobliski las,
Spotkał się z nim nieznany człek,
I chciał z nim ruszać wraz.

Rudy on płaszcz na siebie wziął,
I czapki z głowy on
Przy powitaniu ani zdjął,
I szorstki przybrał ton.

„To ułożenie zdradza stan!
Komornik dumał tak.
Musi to być dorobny Pan,
Bo mu grzeczności brak.

Może ci odda sprawy swe,
Więc pierwszy krok mu zrób.“
Myślał komornik nisko się
Schylając, aż do stóp.

„Kłaniam, tak na to rudy rzekł
Pół grzecznie, drwiąco pół.
„Powiedz mi, czegoś ty tak biegł,
Jak gdyby kto cię szczuł?“

Ah! Jasny Panie! Muszę tak,
 Komornik śmiał mu rzec,
Bo mi potrzebny jeden ptak,
 Co dziśby mógł mi zbiedz."

„Więc na poimkę ludzi, chcesz
 Iść na wies? Ah! w tem gratkę mam!
Bo przyjacielu, śmiało wierz,
 Że ja to lubię sam.

A z takim jak ty zawszem rad
 Pójść gdzie on tylko chce.
Bo ciebie już od pewnych lat,
 Dokładnie znam i czczę.

Pochwały twoje ze wszech stron
 Przyniosła do mnie wieść,
Gdyś nastrojony na mój ton,
 Chcę ciebie wyżej wznieść.

Za komorników wzór cię mam,
 Tyś dla mnie istny skarb,
To chętnie ci wyznaję sam,
 I bez pochlebnych farb.

W mym duchu działasz, czcząc twój stan
By wszystko *prawnie* szło,
Niech pęka świat jak stary dzban,
Cóż nas obchodzi to?

Sprawiedliwości słowem czczym,
Sam gardzę z dawnych lat;
Tyś zmazał je w słowniku twym,
Tak myśli mojeś zgadł.

Postępuj sobie zawsze tak,
Odwagą duszę zbrój;
A dam ci mojéj łaski znak,
I będziesz wiecznie mój.“

Niewie jak się już kłaniać ma
Komornik słysząc to.
„Ah! wasza Excellencya,
Zawstydzasz łaską swą!

Gdy mają dla rozrywki twéj
Posłużyć łowy me,
Na wieś się ze mną udać chciéj,
A będę bawić cię“

Uczciwa Dwójka odtąd szła
Przy sobie wciąż przez las,
Lecz Rudy Płaszczyk biedę ma,
Niemogąc zdążyć wraz.

To tam jak sroka zrobi skok,
To znowu stanie tu,
I mówi: „Bracie wstrzymaj krok,
Bo mnie zabraknie tchu."

„Więc stańmy choć ztąd kroków dwa
Już tylko jest do pól,
Lecz może Excelencya
Ma podagryczny ból."

„Nie! Tej choroby ani znam,
Rzekł Kulas, lecz do dróg
Niezdatnym, bo z natury mam,
Jakieś kalectwo nóg."

Odchylił płaszcz. O chwilo zmian!
Komornik zbladł i drżał.
Ujrzawszy że nieznany Pan,
Kopyta końskie miał.

„Niech Boga chwali wszełki Duch,
Zawołał drżąc jak liść;
Chciał zmykać, lecz przed chwilą zuch,
I z miejsca nie mógł iść.

Więc machał ręką wzdłuż i wszerz,
Niby to krzyża znak,
I drżąco pacierz mowil też,
Chcąc Djabła straszyć tak.

Zębami na to zgrzytnął czart,
„Cóż ci to synu, cóż?
Czy cię tak straszy mały żart,
To ja, twój Anioł Stróż.

Pfe, czy to ty przed piekłem drżysz,
Myślalby kto żeś żak,
Gdy mnie na postrach robisz krzyż,
Ucieknie ci twój ptak."

To mówiąc końskostopy Pan,
Pod ramię synka wziął,
I ciągnął z lasu wprost przez łan,
Choć płakał, wrzeszczał, klął.

Tak go uciągnął parę stai,
Aż rzekł komornik sam:
„Ah, już mi panie wolność daj,
Już pójdę gdzie iść mam.“

Jak ślimak w ślad za Djabłem lazł,
Dobierał krzywych dróg,
I w koło patrzał się raz wraz,
Jakby się wymknąć mógł.

W tem patrzy, czwórką ostrych bron,
Chłop rolę w poprzek wlókł,
I naręcznego siwka on,
Biczyskiem silnie tłukł.

Za każdym razem co wzniósł bat,
Klął: „Niechby ciebie czart
Leniwcze porwał, byłbym rad,
Lepszegoś ani wart.“

—„Patrz rzekł komornik, piękny cię
Dar tu spotyka dziś,
Bierz więc co chłopek dać ci chce,
I ten specjalik zgryź.“

—„Przysmaczku tego niechcę nie,
Tak żywo odparł czart,
Bo chociaż chłop przyzywał mnie,
Byłto jedynie żart.“

„Klął szkapę, tłukł ją raz po raz,
Lecz że ją lubi wiem,
Nie głodnym dziś, a koński zraz,
Jedzeniem jest dość złem.“

Komornik na to: „Oj tybyś
Jedynie tego wart,
Ażeby ciebie jeszcze dziś,
Mocniejszy porwał czart.“

Tak piękna dwójka z siebie drwi,
A każdy myśl swą krył,
Wreszcie do bliskiej przyszli wsi,
Gdzie biedny dłużnik żył.

Tam jakaś matka blisko wrot,
Tuliła dziecko swe,
A synek jéj tak zły jak kot,
Wciąż krzykiem gardziel drze.

Zniecierpliwiona matka tém,
Gwałtem go tłoczy w puch,
„Krzykunie! milcz, bo w gniewie swym,
Zły ciebie porwie duch“

—„Patrz rzekł komornik, pulchna Cię
Przekąska czeka dziś,
Bierz więc co matka dać ci chce,
I ten specjalik zgryź.“

—„Nie, tych łakotek niechcę nie,
Tak znowu odparł czart;
Bo chociaż matka wzywa mnie,
Jest to jedynie żart.

„Choć łaje synka raz po raz,
Lecz kocha go to wiem,
A z resztą wiedz że z dziecka zraz,
Jedzeniem jest zbyt mgłem.“

—„A zatém stańmy. Tu nasz kres,
Komornik woła tak,
Tu mięszka ten przeklęty pies,
Któremu grosza brak.“

Wskazawszy domów pierwszy rząd,
Przed jednym stuknął w drzwi,
Chłop jakiś blady wyszedł ztąd
I rzekł: „Co powiesz mi?“

Na to Komornik odparł mu,
A w głosie już miał jad,
„Héj Bratku! możebyś ty zgadł,
Kto się podpisał tu.“

—„Nie chcę ja zaprzeć ręki méj,
Że dzis jest termin wiem,
Lecz widzi Bóg że sumki téj,
Dziś spłacić niemam czém.

Cierpliwość jeszcze miesiąc miéj,
Upłyną wnet te dni,
A ja mój dług, zaufać chciéj,
Do grosza oddam ci.“

—„Przewłoki chcieć, to słowa czcze,
Zmyślałeś nieraz nam,
Pieniędzy zaraz na stół chcę,
Lub inną radę dam.“

„Winieneś a więc liczyć masz,
Bo termin wczoraj zszedł,
Albo po ostrą poszlę straż,
I marsz do kozy wnet.“

—„Ah, rzekł nasz biedak tłumiąc łzę,
W twe serce litość wmieść,
Jeśli w więzieniu zamkniesz mnie,
Kto da mym dzieciom jeść.“

„Żywiłem z pięciu palcy tych,
Mój biedny mały lud,
Zamknąwszy mnie, zabijesz ich,
Zabije żal i głód.“

Sześcioro dziatek słysząc to,
Podniosło jęk i płacz,
A matka klęka z cichą łzą,
I błaga: „Czekać racz.“

Lecz w Komorniku wszelki wzgląd
Ludzkości, czucia, znikł,
„Precz mi gałgany, precz mi ztąd,
Za grosz nie stanie krzyk.“

To mówiąc zyzem patrzy w twarz,
Od Djabła pochwał chce.
Z radości czart podskoczył aż,
I grubo rozśmiał się.

„Ej, żono, dzieci, wstrzymać łzy,
Rzekł dłużnik. Cicho być,
Do kozy pójdę, ale ty
Do piekła łotrze idź.“

„Ha, Téj potrawy dusznie chcę,
Wesoło krzyknął czart,
Bo dłużnik z serca woła mnie,
I już to nie jest żart.“

„O łotrze, zimny jakby głaz,
Tu nikt nie cierpi cię,
Stąd tak mam chęć dostać cię raz,
Że aż z ochoty drżę.“

Rzekł czart i szpony utkwił w nim,
Jak sęp gdy chwyta żyr,
I kędy z izby idzie dym,
Uniósł go jakby wir,

XX.

WYBÓR.

Dość kochanków liczy Franka,
Bo też ma i wdzięki,
Lecz takiego brak kochanka,
Coby chciał jéj ręki.
Każdy mówił grzeczne słówko,
Ale wzdychał za gotówką.

Pani której służy Franka,
Jest łaskawą dla niej,
„Dam sto złotych,—weź kochanka,
Jak chcesz,—rzecze Pani,
I mnie przedstaw kogo przecie,
Za sto złotych weźmiesz dziecię.“

Niezabawem przyszła Franka,
A z nią i jej luby,
Nie podobny na kochanka,
Rudy, zyz i gruby,
Coś sepleniąc pod nos brzdąkał,
I co kilka słów się jąkał.

„Pfe, zły gust ma moja Franka,
Cóż to ci się stało,
Że takiego gdzieś kochanka,
Serce twe wybrało.“
Franka na to: „Miły Boże,
Za sto złotych cóż być może.“

XXI.

SKRZYDŁA GĘSIE.

Terka miała z róż usteczka,
Wzrost jéj kształtny, kibić boska,
Ale dumna panieneczka,
Zadzierała nazbyt noska.
Może w ojca grosz ufała,
Bo jéj ojciec był bankierem,
A przy pracy nie był zerem,
Gdy się korzyść zwietrzyć dała.

Wdzięczna twarz przy pełnej kiesce,
Tłum kochanków w dom przywabia,
Lecz nie miłym był Teresce,
Chyba Xiąże lub choć Hrabia!
Jednak Jaśnie Oświeceni,
Zimni byli na jéj wdzięki.
Jeden Baron chciał jéj ręki,
Lecz ten pustki miał w kieszeni.

Jak słodziutko, jak pieszczenie,
Względy zyskać chciał łaskawsze,
Lecz jéj zimne odmówienie,
Oddaliło go na zawsze.
Zawstydzony w oczach świata,
Niemy od niéj, smutny idzie,
Ale ona, wieczny wstydzie!
Skrzydłem za nim kurz zamiata.

I to skrzydło dla przestrogi,
Nadedrzwiami zawiesiła,
I do skrzydła wyrok srogi,
W takich słowach przyczepiła:
„Niech nie będzie to nikomu
Tajnem, że się Baron Wato,
Starał o mnie; lecz go za to,
Skrzydłem tém wymiotłam z domu.“

Na przekorę Pan z Przesławia,
  Wywiedziony z kopy herbów,
Jak zalotnik się przedstawia,
  On w szlachectwie nie miał szczerbów,
Jednak nowe skrzydło gęsie,
  Znowu za nim zaszumiało,
  Imię wchodzi w kartkę białą,
I po świecie chańbę trzęsie.

Zalotników numer trzeci,
  Miał niejaki Radca Stanu,
Próżno gwiazda z wstęgą świeci,
  Jaśnie Wielmożnemu Panu,
Terki duma gwiazdy gniotła,
  Wnet na niego przyszła kreska,
  Mimo gwiazd i wstąg, Tereska,
Skrzydłem za drzwi go wymiotła.

Ledwie tak polewkę czarną,
  Zalotnikom trzem podała,
Gdy się znów o hańbę marną,
  Nowa liczba ubiegała,
Ale każdy z wstydem znika,
  Stając się nieczułej pastwą;
  Jak zduszone znika ptastwo,
W srogiej paszczy grzechotnika,

Drugie lato nie mijało,
A kochankom na straszydło,
Jak tryumfu znak wisiało,
Pięćdziesiąte gęsie skrzydło.
Skupowała coraz nowe,
Aby uczcić tryumf dzienny.
Jednak los co bywa zmienny,
Mało dał nad sta połowę.

Bank jéj Ojca już oddawna,
Różne trafy podkopały,
Znikła jego świetność sławna,
I wreście się zapadł cały.
Jeszcze wczoraj złotem puszył,
Ludzi witał jak z niechcenia,
A już jutro do więzienia,
Zaproszony Bankier ruszył.

Zalotników rój wesoły,
Po nieszczęściu umknął wcale,
Jako wrony ze stodoły,
Umykają po wystrzale,
I miłości Bożek mały,
Odwrot także przedsiębierze,
Bo Teresy wdzięki świeże,
Bankrutować zaczynały.

Zdala od wielkiego świata,
Ledwie mogła się wyżywić,
Szły jéj zwolna smutne lata,
I zaczęły włosy siwić.
W tem bakałarz bez urody,
Bo go Pan Bóg garbem skarał,
Już się o nią śmielej starał,
Niźli dawniéj Baron młody,

Że do małżeńskiego stadła,
Chciał wziąść Xięciom przeznaczoną
Rączkę,—na tę myśl, napadła
Wściekłość Terkę obrażoną.
A więc znanym skrzydeł pękiem,
Zdartym nagle z ściany z haka,
Tak wytłukła nieboraka,
Że co tchu umykał z jękiem.

Odtąd jéj ubogie ściany,
Omijały nawet śmiałki,
Aż tu biedy młot miedziany,
Stłukł jéj pychę na kawałki.
Chętnie by dziś z pracy żyła,
Bo wstydziła ją żebraczka,
Ale próżna i próżniaczka,
Niczego się nieuczyła.

Już nie tylko jéj na mięsie,
Lecz zbywało i na chlebie,
Ten raz jeszcze skrzydła gęsie,
Zaradzały téj potrzebie,
Ciężka na nią spadła kara,
Sprzedać ten ostatni szczątek,
Śród łez gorzkich i pamiątek,
Za straganem przecież siadła.

Robak głodu ją zniewałał,
Lud się zebrał w liczne kupki,
Żartów sobie wciąż pozwalał,
Z osobliwszéj téj przekupki.
I czy wiarę dasz czy nie dasz,
Lecz ztąd poszło to przysłowie,
Że o staréj każdy powie,
„Skrżydła gęsie ma na sprzedaż.“

XXII.

TRZY KOGUTY.

Urzędnik pewien do biórа
  Codzień o jednéj godzinie
Chodził, a miał żonę, która,
  Która z wdzięków swoich słynie.

Ledwie biła jedenasta,
  Co dzień też o jednéj porze,
Znosił pani, cukry, ciasta,
  Chłopak młody, krewny może.

Jednakże garderobiana,
  Myślała, że odwiedziny
Tak rzadkie w bytności Pana,
  Nie muszą być bez przyczyny.

Gniewały ją tajemnice
  Nieufane, niezwierzone,
Wiedząc to, że powiernice,
  Lepiej od sług są płacone.

Mieli w domu trzy koguty,
  Jeden biały, jakby mleko,
Ten czerwony jak żar z huty,
  Tamten czarny jakby wieko.

Kogut czarny raz nad ranem
  Zaczął piać jakby najęty,
I swém pieniem niewstrzymaném,
  Przerwał Pani snu ponęty.

Pani więc garderobianą
  Woła z gniewem, i tak pyta,
„Któryż kogut zawsze rano,
  Ciągle pieje za nim świta?“

„Ptaków głos rozumieć mogę,
I czarnego to kogutka
Głos poznałam — Na przestrogę
Piał on“ rzecze wręcz filutka.—

„Co przestrzegał? — Pani pyta.
„Mówił—„Słuchać mnie niewadzi!
Niech rzecz będzie jak chce skryta,
Przecież w końcu to się zdradzi.“

Słysząc Pani takie słówka,
Zawstydzona raka spiekła.
Tém zuchwalsza pokojówka,
Już nazajutrz sama rzekła:

„I czerwony dziś kogutek
Piał od świtu, jak na harcu,
Że jednaki miewa skutek,
Żon wierność z pogodą w Marcu.“

Pani na to rzekła gniewnie;
I stanęła we krwi cała;
„Jakaś czarownica pewnie,
Wszystek drób mi opętała.

Że i tobie mózg zmięszała,
Więc niemówiąc nic nikomu,
Wynoś się, bobym musiała
Zamknąć cię w warjatów domu."

Sługa zamiast odpowiedzi,
Przestraszona po téj próbie,
Cały dzień cichutko siedzi,
Szyjąc pilnie w garderobie.

„Jeszcześ tu garderobiano!
Znająca się z ptaków mową,
Mówi pani — Dałżeć rano
Trzeci kogut radę nową? —

„O! tak pani! Jak najraniéj
Temi słowy piał donośnie:
„W życia polu, przy kąkolu
Użyteczne ziółko rośnie."

„*Uważaniem*" ziółko zwie się,
Kąkol zaś nazwano *plotka*.
Wypiel kąkol, korzyść słodką
Dobre ziółko ci przyniesie." —

„Biały kogut piał rozumnie,
Mówi Pani! Coś uczynim
I dla niego ; łaski u mnie
Mieć on będzie, i ty przy nim.“

XXIII.

POJEDYNEK.

W teatrze za niegrzeczne słówko czy uczynek,
Wyzwał nieznajomego Jan na pojedynek.
Nazajutrz gdy nadeszła umówiona doba,
Gdzieś w lasku do rozprawy stawili się oba.
Niewidząc żadnej broni Jan u przeciwnika,
„Cóż to? Czy się bić niechcesz?“ z zapałem wykrzyka.
„Owszem, chcę panu pomódz do wiecznej podróży
Lecz jak wiesz wyzwanemu wybór broni służy.“

To wyrzekłszy poważnie dobywa szkatułki,
W której były pudełka, w pudełkach pigułki
Dwie z nich wybrał: „Niebędę nudził Pana długo,
Masz tu pigułkę z chleba, z kwasem pruskim drugą;
Wybierz, połknij wybraną, a ja pozostałą.
Tak jeden z nas bez bólu zrzuci ziemskie ciało.
Chcesz méj śmierci, wybieraj; czego próżno zwlekasz;
Nie walczę inną bronią, bo jestem aptekarz.“
„Najniższy sługa pana“ odpowiada młody,
I czémprędzéj mu rękę podaje do zgody.

XXIV.

PIEŚŃ
O PRADZIADKU I O PRABABCE.

Oh! jakże to świat nasz zupełnie się zmienił,
Od czasu jak Pradziad z Prababką się żenił,
Niemówił mąż „Pani“ na swą połowicę,
Panienek nie było, lecz były dziewice.
Umiano cnotliwie zachować swój stan,
Nie wszystkim mówiono „to Pani, to Pan.“
I byli naówczas prawdziwi Panowie,
Dziś tylko się Państwo coś marzy po głowie,
I jeśli tak potrwa, to przyszły już wnuk,
Na świecie dla siebie nie znajdzie i sług.

Za czasów gdy Pradziad z Prababką się żenił,
Świat cnotę oceniał, pieniędzy nie cenił,
Choć wówczas pieniądze jedynie brzęczały,
A przecież tak dźwięku mocnego nie miały.
Milczących papierków galwaniczny stos,
Sumienia i sławy zagłusza dziś głos,
Jak gdyby na drożdżach tak rosną majątki,
Oszustwa i hańby szatańskie pamiątki.
I gdy ta zaraza na przyszłość ma paść,
Już dzieci w kolebce wyuczą się kraść.

Od czasów jak Pradziad z Prababką się żenił,
Ród ludzi cnotliwych do pół się wyplenił.
Patrz, oto ten blady, co tyle szelestu
Dziś robi, nic nie miał przed laty trzydziestu,
Bakałarz u Panów dziś milijon ma,
On Ostro majątek, bo zrobił w lat dwa,
Podstępem od Pana włość kupił, nic niedał,
Las Panu do fabryk nad włość drożej przedał.
Sto korcy kartofli zaciera co dzień,
Więc jeśliś z dzisiejszych, to jeszcze go ceń.

Naówczas gdy Pradziad z Prababką się żenił,
Był taki w pogardzie, kto w pracy się lenił,
Dziś wszystko inaczej, dziś praca w pogardzie,
Kto giętki dla wyższych, z niższemi jest hardzie.

Pozorną pozłotę nabytą ze szkół,
Kto obcą emalją powlecze na pół,
Już innych zaciera. Zasługa i praca,
I nawet przed takim pierwszeństwo utraca,
Oh! tak jest przyznajcie! świat całkiem się zmienił,
Od czasu jak Pradziad z Prababką się żenił.

XXV.

KOLEBKA.

Kolego! Ty ze mną dziś jedź do Piaseczny,
Tam córka gościnnych jest piękna jak kwiat,
Od dawnych to czasów tak miłéj, tak grzecznéj,
I takiéj wesołéj nie widział już świat.

To mówił z swych pustot słynący Marcelli,
Do Piotra kolegi. Choć deszcz na nich mżył,
W cwał lecąc na koniach, przed karczmą stanęli,
W któréj gospodarzem Bajdura Jan był.

Poczciwy staruszek owdowiał od roku,
  Lecz już mu stan wdowi naprzykrzył się tak,
Że młodą wziął żonkę i miłą z widoku.
  Za smaczny to kąsek, gdy zębów już brak.

Znał obu Paniczów, więc śmiejąc się pyta:
  „Jak widzę rycerzy postraszył coś deszcz,
A powód podróży to może rzecz skryta,
  Zapewne to miłość, a cóż, czym zły wieszcz?“

„Dam chętnie, rzekł Marcel, odpowiedź na śledztwo,
  Lecz tylko otwartość, nie grzeczność w niej ceń,
My nie tu dziś chcieli, lecz w dalsze sąsiedztwo,
  Bo zrazu tak piękny, pogodny był dzień.

Wnet potop deszczowy jął wody lać garce,
  I prawie do nitki deszcz stłukł nas i grad,
Więc pomieść nas bracie w gościnnéj swéj arce,
  Aż słońce jutrzejsze otworzy nam świat.

Przepraszam rzekł na to gościnny nieśmiało,
  Pokoik na górze już zajął mi gość,
A w moim alkierzu jest miejsca tak mało,
  Że ledwieby mogły dwa śledzie mieć dość.“

„Ej! co za dziwadcwo! Marcelli rzekł na to,
Tuby wieloryby zmieściły się dwa.
Gosposiu! Co żywo daj rumu z herbatą.
A nasza Różyczka jakże się też ma?"

Gościnny choć długo ramiona poruszał,
Choć spór o brak miejsca dość długo im szedł,
Lecz drugą szklanicę zaledwie dosuszał,
Przestroniej mu w izbie zrobiło się wnet.

W alkierzu po trzeźwu się patrząc i z świcą,
Znalazłbyś że szczupło. Przy ścianie stał sprzęt
Szeroki, małżeńską przezwany łożnicą,
Od której i z dziewcząt niewiele, ma wstręt.

A za nim tuż stało maleńkie łóżeczko,
Ku temuby chłopak o sto mil biedz rad,
By widzieć się z piękną jak róża Rózieczką,
W łóżeczku tem spiącą szesnaście już lat.

Przy oknie stał ze szkłem stół starej struktury,
Na boku zaś skrzynia i szafka bez nóg,
Przy piecu w kolebce spał malec Bajdury,
I ledwie sam człowiek wykręcić się mógł.

Podchmielonemu jest wszystko podobne.
„Daj tapczan kobieto i gościom tu ściel,
Przy szafce być może posłanie osobne,
Pościelą jak możesz z Panami się dziel.

Choć rada się spierać, lecz wie że Bajdura,
Jak ołów miał rękę gdy w czubek co wlał.
Wiedziała z boleścią że tak nic niewskóra,
Zmieściła więc tapczan, jak tylko się dał.

Pokładli się wszyscy gdy stróż zagrzechotał,
Bo skarżył się Marcel że zmorzył go sen.
Że jakoś się malec w kolebce zamotał,
Choć wchód był, gosposia zamknęła wchód ten.

Zagrzmiała chrapiąca małżonków muzyka,
Tak tartak turkocze, tak w rynnę grzmi grad.
Marcelli się cicho od Piotra wymyka,
I cicho do łóżka Rózieczki się wkradł.

A w tem się ze stajni zgiełk jakiś rozszerza,
Czy złodziej się zakradł, czy koń się im zdjął
Gosposia po macku wychodzi z alkierza,
Bo jest niespokojną, zkąd hałas się wszczął.

Pan Piotr niemógł zasnąć, więc zerwał się z łoża
Lecz inny zupełnie do wyjścia miał wzgląd,
Szedł cicho w te pędy jak gospoś szła hoża,
Bo skryty gdzie w stajni wynaleźć chciał kąt.

Odchodząc kolebkę odsunął cichutko
Od łoża małżonków, i stawił przy swém,
I zaraz wracając, bo bawił się krótko,
Pomyślał: niezmienię. Eh! mniejsza jest z tem.

Gosposia zrobiwszy porządek w stajence,
Wracała powoli, lecz drżała jak liść,
By o co się niestłuc, wyciąga więc ręce,
I maca po ścianach jak dalej ma iść.

Trafiła na łóżko, lecz brakło kolebki,
I rzekła do siebie. „To łóżko nie te,
Poszłabyś do gościa, o głowo bez klepki,
Dopiero to jutro wyśmialiby cię.

Macając więc dalej spotyka kolebkę,
Przy Piotrze się kładzie zwiniętym jak wąż,
Pan Piotr przyjął chętnie niewinną zaczepkę,
Lecz milczał, choć wszystko wypełnił jak mąż.

Od Rózi swéj stokroć nad Piotra szczęśliwszy,
Marcelli w swe łóżko biegł prosto jak w dym,
W tym nogą z nienacka w kolebkę trąciwszy,
Wszedł w łóżko gościnnych, i spoczął wnet w nim.

I rzekł: „Otbym zgiełku narobił w zaciszu,
I parze szczęśliwéj przerwałbym ja sen,
Tu przecie spać będę przy mym towarzyszu.
Więc zbudził go zaraz i rzekł w sposób ten

„Szczęśliwszy nademnie na świecie kochanek
Nieznajdzie się żaden. Téj nocy za wiek
Niedałbym; dziś Rózia swój dała mi wianek.“
Cóż na tę wiadomość Bajdura Jan rzekł?

On oczy przeziera i w łóżku się zrywa,
Żylastą pięść złożył, i z gniewu aż drżał.
„Do piekła cię wtrącę, ty żmijo złośliwa,
Ty czarcie przeklęty coś z Rózią mi spał.“

Poznaje Marcelli co to się tu święci.
Więc uszy pokornie w poduszkę aż skrył.
Poznaje gosposia, kto mimo jéj chęci,
Tak dzielnie i lubo małżonkiem jéj był.

U kobiet w złym razie najskorsza jest rada,
Zastępcę małżonka porzuca co tchu,
I jakby duch lekka do Rózi się skrada,
I od niej dopiero odzywa się tu.

„Hej! Stary! O czemże tak przez senes marzył,
I cóż to za straszny obudził cię szał.
—Nic do stu piorunów! —To żarcik się zdarzył,
Że z Rózią Marcelli dopiero co spał.“

„Wczorajsza herbatka tak szumi ci w głowie,
To arak gorący przemawia przez cię.
Pfe! wstydź się, córeczkę znieważasz w tym słowie,
A Rózia niewinna; wszak przy niej ja śpię.

Niewinny jej kwiatek pilnuję noc całą,
Gdy spisz jak zabity, a potym kląć śmiesz.
Stąd nic jej gorszego jak mnie się nie stało.
Jak kocham Cię mężu, tak słowom mym wierz.“

Pan Piotr niby swieżo ocknąwszy się z spiku,
Już śmielszy chce dodać swój żarcik do scen.
„Co robisz Marcelli, biedny lunatyku,
Czy zawsze rozmawiasz i chodzisz przez sen.

On Panie gościnny! on czyni to z biedy,
  Bo ledwie się xiężyc przesunie przez mgłę,
Co noc on w koszuli wędruje, a wtedy
  Co mówi, co czyni, on sam ani wie."

„No! no! rzekł Bajdura, idź Panie Marcelli
  Spokojnie na twoje posłanie idź spać,
Niech przecie ci niebo téj łaski udzieli,
  Byś stracił chorobę; — na wieki ją strać."

Jak ze snu pijany Marcelli wstał zaraz,
  I plótł jak u czubków, i głośno się śmiał,
I płakał i skakał, a wszystko to na raz,
  Aż z śmiechu Bajdura pod boki się brał.

Łudziła go długo ta bajka wymowna,
  A w tém gdy ubiegło kwartałów już trzy,
Stanęła przy Rózi kolebka wędrowna,
  Bo wujka Marcelek wypędził wnet z niéj.

UCINKI.

I.

DOBRODZIEJKA.

Wojna mówią jest zuchwała,
A jéj przechód bywa srogi;
Stawia jednak tych na nogi,
Którym powóz odebrała.

II.

NA MOŻNEGO SZKODLIWEGO.

Zna jego wagę kraj i stolica,
O Boże! Czemu nie szubienica?

III.

PIECZENIARZ.

Jak się łasi, jak przymila,
X. dla dobrego obiadu;
Korzysta z kubła przykładu,
Który chcąc co zaczerpnąć, aż do dna się schyla.

MYŚLI RÓŻNE.

I.

Dobra rada nie zawsze w książce ma mieszkanie,
Czasem się i na targu mądre spotka zdanie.

II.

Jeśli matka na ręku drobne nosi pieski,
Niech ma litość nad dziećmi Ojciec ich niebieski

III.

Wymowne doświadczenie miewa kazań wiele,
Napróżno, bo u niego pustki są w kościele.

IV.

Drżyj przed giętkim człowiekiem; on jest jak pa-
Którego można łatwo okręcić o palec. (dalec,

V.

Przed swemi drzwiami niech każdy zamiata,
A będzie czysto w obu końcach świata.

VI.

I najmniejszy chrzabąszczyk w swych skrzydłach
się wdzięczy,
Nadyma się szeroko i huczy i brzęczy.
Podobnież ma się za coś człowiek głowy ciasnéj,
Patrząc szkłem zwiększającém swej miłości wła-
snéj.

VII.

Niech od tego Bóg cię broni,
By cię wszyscy wysławiali,
Kogo głupców pióro chwali,
Znać że głupi jak i oni.

VIII.

To oznaką własnej mocy,
Gdy kto stoi bez pomocy.

IX.

Dziś zbierać dostatki
U wielu potrzebą;
Choć z najmniejszej chatki
Widzieć można niebo.

X.

Nieraz się pyszni ciemnota i duma,
Kiedy się z sobą pokuma.
Bo to przysłowie stare każdy wie,
Skrzypi w wozie koło złe.

XI.

Kogo raz nieszczęśliwy prześladuje los,
Ten choć na wznak upadnie, stłucze sobie nos.

XII.

Niech to podziwu nie budzi,
Że się tak krawiec nie jeden nadyma
Że się za coś trzyma,
Gdy tylu dudków przerabia na ludzi.

XIII.

Czasem mądrego imieniem,
Wsławi się głupi.... milczeniem.

XIV.

I dzisiejszy wiek można złotym nazwać wiekiem,
Bo i w dzisiejszym wieku złoto rządzi człekiem.

JESZCZE POEZJE

KASTELLEGO.

W piérwszym tomie Antologii Niemieckiéj dałem kilka Poezyi Kastelego. W czasie druku przybyłe nowe, teraz dodaję.

I.

A POTÉM.

LEGENDA.

Szanowny Panie! Znałeś mnie wtedy,
Gdym w życiu mojem snuł pasmo biedy!
Gdy nieznający świata i młody,
W dolinie Ojców pasałem trzody.
Odtąd się wszystko dla mnie zmieniło,
Teraz mi życie upływa miło,
Wspaniałomyślny Pan i bogaty,
Psterza z sobą wziął z biednéj chąty.

Lecz on nie tylko na ciało łożył,
Jeszcze nauką rozum otworzył,
Z jego to łaski w bogatszych kole,
Uczę się prawa w tutejszej szkole,
Zawiści wielu będąc przedmiotem.
Teraz szczęśliwy jestem.

ŚWIĘTY FILIP NERJUSZ.

A potém?

MŁODZIENIEC.

Pilniejszych uczniów pójdę ja torem,
I może będę prawa doktorem.
Wzbiję się później nad gminu błotem,
Sławnym prawnikiem będę...

ŚWIĘTY FILIP NERJUSZ.

A potém?

MŁODZIENIEC.

Potém zawilszych spraw się podejmę,
A przez przyjęcie wszystkich uprzejme,
Przez pracę, pilność, bystre pojęcie,
Zyskam u ludzi powszechne wzięcie.

Każdy mnie chętnie okrywa złotem,
Proszony jestem, słynę.

ŚWIĘTY FILIP NERJUSZ.

A potém?

MŁODZIENIEC.

Może ohjęciem wsławiony bystrem,
Sprawiedliwości będę Ministrem.
Nakupię włości, dostanę wstęgi,
Nabędę w świecie wielkiéj potęgi,
I sześciokonnym cugiem z łoskotem,
Będę w stolicy jeździł.

ŚWIĘTY FILIP NERJUSZ.

A potém?

MŁODZIENIEC.

Okryty losu błogosławieństwem,
Zasłynę z żony cnem pokrewieństwem,
Dzieci i wnuki wnet postanowię,
W sędziwym wieku zatrzymam zdrowie.
Życie w wygodach minie mi lotem,
Czczony, szczęśliwy, będę.

ŚWIĘTY FILIP NERJUSZ.

A potém?

WŁODZIENIEC.

Potém ... a potém..... Próżno myśl suszę,
Potém...'nakoniec umierać muszę.
Spojrzał nań Święty, a głosu grzmotem,
Groźno raz jeszcze pyta. „A potém?“—
Na to się młodzian nic nie odzywa,
Twarz zawstydzoną dłonią zakrywa.
Odszedł, a serce potężnym młotem,
Ciągle powtarza słowa, „A potém“
Długo w nim wrzało ciche dumanie,
Nareszcie ludziom w kapłańskim stanie,
Życie poświęcił, i z cnot swych czczony,
Umarł w starości błogosławiony.

UCINKI.

I.

PAN W DOMU.

Jan bił żonę,
Zgromadzone
Na jéj krzyk sąsiedztwo,
Rozpoczyna z Jana śledztwo,
Ci pytają, ci go ganią,
Ci się kłócą z Janem.
„Biję rzekł Jan, bo w domu nie chciała być Pa-
—A czemże być chciała?—Panem. (nią.“

II.

NA ROZRZUTNEGO.

Spłacił Jan naturze dług,
Bo ten tylko spłacić mógł.

III.

ROZMOWA.

PYTANIE.

Musisz szczęścia mieć nad miarę,
Bo masz grosz i wino stare.

ODPOWIEDŹ.

Chceszże wszystko to mieć stare,
Jak ja starej przysiąż wiarę.

IV.

NA EGOISTĘ.

Nikogo o niewdzięczność Pafnucy nie wini,
Bo tak żyje że wdzięcznym nikogo nie czyni.

V.

NA PIÓRO.

Mieści się w piórze własność czarująca,
Jednym pochlebia, drugich nieraz łaje,
Głodem poetów za życia w grób wtrąca,
Sławą po śmierci nieśmiertelność daje.

VI.

NA STAREGO NARZECZONEGO.

Boją się młode dziewczynki,
Starego narzeczonego;
I nie dziw. Świeże roślinki,
Za młodu od mrozów strzegą.

VII.

RECENZENCI.

W recenzentach złość się kryje,
I sroga bywa ich władza;
Lecz sroższe byłyby żmije,
Szczęściem sykanie ich zdradza.

VIII.

RÓŻNICA.

Drżć musi każdy przed skrytym ciosem,
Zły przed praw karą, dobry przed losem.

IX.

DO EMILII.

O chciej mi przysiąc, przysiąc,
Nie raz, sto razy, tysiąc,
Że kochasz mnie Emilko,
I mnie jednego tylko.
A lubo mówiąc szczerze,
Twym słowom nie uwierzę,
Lecz tę przysięgę drogą,
Z twych ust tak słyszeć błogo.

X.

PIJAK Z MIŁOŚCI.

—Mogłażebym się po tobie spodziewać tej zmia-
(ny,
Mój mężu! jużeś trzy dni dzień po dzień pijany.—
—To z miłości do Ciebie czynię życie moje,
Bo wiem że upiwszy się obraz twój podwoję.

. XI.

PRĘDKA DECYZIA.

A. — Mam dla ciebie żonę,
B. — Dzięki nieskończone.
A. — Ciałko świeże, białe,
B. — To nie długo trwałe.
A. — Uśmiech jéj pieszczotą,
B. — Uśmiech, mniejsza oto,
A. — Swieża jak malina,
B. — Eh! Ja malin niechcę,
A. — Pełna cnot dziewczyna,
B. — I to mnie nie łechce,

A. — Mądra, oczytana,
B. — Takich ja nielubie,
A. — Z swéj dobroci znana,
B. — Zmieni się po ślubie,
A. — Lecz ma pół miljona.
B. — Ah! to dla mnie żona.

XII.

KLUCZ OD SERCA.

„O Jowiszu! ucz mnie, ucz,
  Czem się serce dziewcząt wzruszy,
Boś ty klucz miał od ich duszy?“
  Rzucił — Patrzę... złoty klucz.

POEZJE POMNIEJSZE

DZIŚ ŻYJĄCYCH

LUB NIEDAWNO ZMARŁYCH

POETÓW NIEMIECKICH.

VOSS.

I.

ZBIÓR KARTOFLI.

PRZEROBIENIE Z ORYGINAŁU.

Chłopcy! dziewki! Nucąc w chór
Zacznijmy kartofli zbiór,
Brać koszałki
I opałki,
Choćby nieckę, choćby wór.

Z szczytu nieba wejrzał Bóg
Na niedolę swoich sług,
Pół narodu
Marło z głodu,
Z ziarna niewyżywiał pług.

Posłał męża, który rad
Z woli Boga odkrył świat,
W nim niecnocie
Kara w złocie
Biednym zysk w kartoflach spadł,

Patrzcie! co tu ich pod krzem,
Niedoliczysz jednêm stêm.
Hej dziewczyny!
Dwie redliny,
Każda bierz na miejscu swêm.

Pragnąc Pan ocalić lud,
Czyni nad cudami cud;
Większy czyni
Niż w pustyni
Mannę śląc uczynił wprzód.

Bo gdy Żydom mannę słał,
Jeden zysk z niéj tylko miał;
Dziś wszelaki
Przez ziemniaki
Przychód ludzie biorą w dział.

A ty chłopcze do stu bomb!
Pracy ani rąk nie skąp.
Angielaki
I modrzaki
Dobrze rydlem sięgaj w głąb.

Wszystko ma z kartofli swych,
Ten co umie użyć ich.
A niż manna,
Kartoflanna
Kaszka bywa lepsza z nich.

Mąkę, krochmal, cukier już
Masz z kartofli jak ze zbóż.
I do picia
Krople życia
Leje z nich Pistoryusz.

Bacznie zwolna naprzód stąp,
Przecież eś nie żaden głąb.
Do gromadki
Perzowatki
Złóż te, będzie na sześć gąb.

W grunt choć kiełek z wiosny usadź,
Wzrost z swym płodem będzie zsać;
Bo tam błoga
Łaska Boga
Działa skrycie nim ją znać.

Patrzcie! Bóg jest hojnym tak,
Że do zbioru rąk nam brak.
Już bez miary
Niesie dary;
Że jest Ojcem, daje znak.

Chłopcze! Gładkie miejsce zrób
W koło kółka na sześć stóp.
Inny chłopiec
Niech na kopiec
Sypie z koszów na sam czub.

Z szkodą biednych kupcząc żyd,
Z zboża wzrasta w dobry byt.
Lecz ziemniaki
Dar nietaki,
Co rok biedny jest z nich syt.

Co półkorce zsypiesz, tuż
Znak z ziemniaków na bok złóż,
Ze stu znaków
Tych ziemniaków,
Będzie kopiec spory już.

II.

STARA KAPOTA.

WOLNY PRZEKŁAD.

I śnieg i deszcz, i śron i grad,
Zmieszany burzą pokrył świat.
  Z dachu ciekąc deszczu krople
  Marzną jak gdyby lodu sople.
Jaśkowa, która ma tę cnotę,
  Iż gdy chce czego, pięknie prosi.
  Mowi: „Mój mężu! idź do łosi,
Ale wprzód starą wdziej kapotę.

Wszak słyszysz naszéj łosi ryk
Przykry jak gdyby dziecka krzyk.
Już w łońskim roku dobre zwiérzę
Dało nie jednę masła dzieżę.
Miej nad nią litość w taką słotę,
Z gródki ją zapędź do obory;
I jakeś dobry, tak bądź skory,
Ale wprzód starą wdziéj kapotę."

„Już ze dwadzieścia z górą lat,
Staréj kapocie byłem rad,
Ale w niéj teraz wyjść nie pięknie,
Przejdzie ją mróz i deszcz przesięknie.
A więc żonisko moje złote,
Czego się zawsze skubać mamy;
Parę korczyków gdy przedamy,
Mogę mieć nową z nich kapotę."

„Jak Pan Dzierżawca mężu rób,
Sprawił on surdut gdy brał ślub,
I jak powiada, ma nadzieje,
Że go do trumny jeszcze wdzieje.
Co u nas grosz, u niego złote,
Piąć się nad innych niewypada.
A więc mężulku moja rada,
Weź jeszcze starą twą kapotę."

„Ja się nad innych niechcę piąć,
Lecz co ciepłego radbym wziąć.
Już w mej kapocie zliczysz nitki,
A większe z zdrowia są pożytki.
Stąd chodzić w nowej mam ochotę.
Bo już i ze mnie drwią sąsiedzi.
Żaden się w łatach tak nie biedzi,
Sam tylko starą drę kapotę.“

„Nie wadzi nic kapocie twej,
Co złego zszyłam, więc ją wdziej.
Wiesz dobrze żem ja w życiu mojem
Baczność o zdrowiu miała twojem.
Byłam ci zawsze jak na jotę
Dobrą, cnotliwą, wierną żoną,
Masz co jeść, izbę wypaloną.
Idź więc i starą wdziej kapotę.“

„Ma swój obyczaj każdy kraj,
Więc mi z kapotą pokój daj.
Wszystko złe w tem się stadle rodzi,
Gdzie żona męża za nos wodzi.
Żal ci tak marną wydać kwotę,
By mi odzienie sprawić nowe.
Ktoby mi kazał iść po krowę,
Albo tę starą brać kapotę.“

„Mężulku mój! Trzydzieści lat
Nie było w naszym domu zwad.
Słodziłam tobie zawsze życie,
Nie jedno wychowałam dziecię.
A przez troskliwość i pieszczotę,
Wywiodłam ich na dobrą drogę,
Spraw niech cię zawsze kochać mogę,
I twoją starą wdziej kapotę.“

Jaśkowa teraz jak i wprzód,
Słów używała gdyby miód.
Nie lubi ona haru haru,
Nie lubi kłótni ani swaru.
Mógłże jej zrobić mąż zgryzotę,
Lub jakie przykre odrzec słówko.
Iść za ryczącą wolał krówką,
Wolał i starą wziąć kapotę.

III.

MAŁA SZWACZKA.

Patrz! jeszcze jest nici garstka,
A palec mnie boli,
Niech mi siostrzyczka naparstka
Pozwoli.
Bo przyjdzie mama i spyta,
Czy już koszulka uszyta.

Ciągle mi Adaś zuchwalec
Sprzeciwiałsię tylko,
Za to ukłułam go w palec
Tą szpilką.
A ten wietrznik, nic dobrego,
Naparł się naparstka mego.

Broniłam się od swawoli,
On porwał jak swoje,
Kol! kol! mówił, niech tam boli,
Już moje.
Jeszcze na Boże skaranie,
Porwał mi pocałowanie.

Siostro! Tyś wyższa dwa cale,
I starsza to samo,
Jak tu wykręcić się wcale
Przed Mamą.
Niewiem czy zwiodę tak Mamę,
Że mysz porwała go w jamę.

Anastazy Grün.

I.

ZIARKO I ŁUPINA.

WOLNY PRZEKŁAD.

Skład winny skromny i mały,
  Znak pyszny go nie zaszczyca,
Lecz w środku węgrzyn wystały,
  I niezrównana piwnica.

Na oknie prosta doniczka,
  Lecz róża z niej kwitnie wonna;
Spokojna, cicha twarzyczka,
  Lecz myśl do litości skłonna.

Kościołek już pochylony,
Lecz w nim pobożność prawdziwa,
I miłe organów tony,
I luba pociecha spływa.

Biedna bryka, szkapy chude,
Fornal ślepy, buda brzydka;
Ale ozdabia tę budę
Najmilsza w kraju kobiétka.

Łysa skała, lecz wytryska
Smaczny zdrój z téj skały łysćj.
Stare odludne zwaliska,
Lecz i stare na nich cisy.

I ja tu stoję przy drodze,[a]
Okopcony słońca blaskiem,
W ubraniu prostém przychodzę,
Okryty kurzem i piaskiem.

Lecz miłą szczęścia nadzieję
Niebo mi w sercu umieszcza,
Wiatr na mnie z radością wieje
W swych stronach witając wieszcza.

We wszystkiém tak, oczywiście,
W łupinie ziarko znajdziecie,
Lecz albo orzechy gryźcie,
Albo wędrujcie po świecie.

II.

LISTEK SUCHY.

Mam starą, starą Ciotunię,
A ta starą książkę ma,
Z niéj stary liść gdy wysunie,
Na zmarszczki jéj pada łza.

Powiedźcie młode panienki,
Co może mieć w sobie liść,
Że z piersi ciotuni jęki,
A z oczu łzy muszą iść?

III.

POWITANIE MORZA.

Swietne, ciche, niezmierzone,
Niezbadane, nieskończone,
Stare, święte, wieczne morze
Witam, witam cię w pokorze.

Twój mnie widok tak przeraża,
I tęschnoty téj udziela,
Jak gdy wszedłszy w próg smętarza,
Grób ujrzemy przyjaciela.

Dumne twą nieczułą siłą,
Zimno trawisz wszystkie szczątki,
Ani krzyża, ni pamiątki
Niezostawisz nad mogiłą.

Lecz pocieszasz z drugiej strony,
Bo twój przestwór niezmierzony,
Błyszczy światu jak gościniec,
Jak łan wielki, jak zwierzyniec.

Z kryształowej twojej fali
Nieraz wyjdzie skarb bogaty,
Swietne perły, gaj korali,
To twe drzewa, to twe kwiaty.

Po twém błoniu nawy orzą,
I zbierają plon bogaty,
Skarbów śledzą, skarby zwożą,
I przemysłu, i oświaty.

IV.

OBRĄCZKA.

Raz siadłem na górze wzniosłéj,
Od kraju mego daleki,
Widziałem jak siewy rosły,
Jak biegły w dolinie rzeki.

Tak w cichém siedząc dumaniu,
Obrączkę mą z palca zdjąłem,
Którą ja przy pożegnaniu,
Jak zakład od lubéj wziąłem.

Przytknąwszy ją tak przed oko,
  Jak gdybym brał perspektywę,
Świat obaczyłem szeroko,
  I świetne obrazy żywe.

Nad wodą w skałach stał zamek,
  A w wodzie szczyty się myły;
Prawdziwie obraz był miły,
  Do takich miłych mi ramek.

Białością chatki łyszczące,
  Pochyłą górę upstrzyły,
Poniżej w polu i łące,
  Sierpy i kosy się lśniły.

Tam góry, ta Straż z granitu,
  Błękitnym błyszczą się szczytem,
I błękit błysł u zenitu,
  I rzeka ciekła błękitem.

Tam miasta widać za rzeką,
  Iskrzy się z wieży ich złoto;
Tam czarne chmury daleko
  Gonią za moją tęschnotą.

Niebios i ziemi ponęty,
  Ludzie i kraje się wdzięczą;
A cały obraz objęty,
  Drogą kochanki obręczą.

Pięknyś obrazie! Objęty
  Złotą kochanki obręczą,
Do ciebie świata ponęty,
  Ludzie i kraje się wdzięczą.

BARON ZEDLIC.

I.

PRZEGLĄD NOCNY.

Pod północ dobosz się zrywa,
I z grobu wychodzi sam,
Rond z tarabanem odbywa,
Bębniąc to tu raz, to tam.

I skośniałemi rękoma
Pałkami tłucze co sił,
Na werbel i na pobudkę,
A w końcu na capstryk bił.

Dźwięk dziwny z bębna się szerzy,
I silny wydaje ton,
Aż tłumy zmarłych żołnierzy
Z mogiły ocuca on.

Ci, których w lodach północy
Mróz zgłębił, zasypał śnieg,
I którzy w skwarach południa
Skończyli dni swoich bieg.

I ci, co stali nad Nilem,
Lub morską zmierzyli toń;
I z piasków Arabskich wstają,
I biorą na ramię broń.

I trębacz w północ się zrywa,
I z grobu wychodzi sam,
Brzmi jego trąbka chrapliwa,
I jeździ to tu, to tam.

Wnet na powietrznych rumakach
Konnica pędzi co tchu,
W skrwawionych barwach i znakach
Rotami schodzą się tu.

I biała czaszka im sterczy
Z pod hełmu, i rży ich koń,
I długi oręż morderczy
Skośniała podnosi dłoń.

Pod północ i Wódz się zrywa,
I nagle porzuca grób,
Szeregi z wolna przebywa,
Sztab za nim, także już trup.

Surdutem szarym odziany,
Założył ręce na krzyż;
Szedł cicho i zadumany,
Lub patrzał na grzmiący spiż.

Światełko żółte xiężyca
Oświeca téj musztry błoń.
Szeregi broń prezentują,
I biorą na ramię broń.

Za zmarłym tym wojskiem starym,
Przeciąga muzyka wciąż,
A z wolna w surducie szarym,
Poważny patrzy się mąż.

6.

Marszałków i Jenerałów,
Tłum wkoło wodza się zbiegł,
A wódz najbliższemu słowo
Po cichu do ucha rzekł.

Szło hasło w kolej, bo wszyscy
Wojenny odbyli chrzest:
„Francya“ to jest ich hasło;
Odzewem: „Helena“ jest.

Ten przegląd dzieje się co dzień
Tam wśród Elizejskich pól,
Pod północ go tak odbywa
Umarły Cesarz i Król.

II.

OKRĘT DUCHÓW.

Dmą wiatry posępne i ciągną mgły,
Już gwiazda się nie nawinie,
Gdzie piętrząc się fale szumiące szły,
Wprost jakiś tam żagiel płynie.
To niewidzialnych duchów ręka
Okrętem kieruje tym,
Skał ani burz on się nie lęka;
Żyjących nie widać w nim.

Opodal od morza gdzie fala spi,
Jest wyspa czcza i ponura,
Tam skały samotnej szczyt się lśni,
Choć czoło jej kryje chmura.
Tam trawa nie rośnie, nie rosną drzewa,
Tam gniazd nie buduje ptak,
I tylko tam orzeł wzrok zdumiewa,
Prujący powietrzny szlak.

Monarcha tam ma spokojny grób,
W pustyni nieogrodzony,
I wierzba jedyna rośnie u stóp,
I schyla swój liść zwieszony.
I nic tu nie żyje, a światów fale
Slą niedosłyszany ton.
A jednak ten co śpi na téj skale,
Za życia zajmował tron.

I xiężyc się zmienia, i schodzi rok,
Zmarłego wciąż sen upaja,
Dopiero uczucie wraca do zwłok,
Gdy przyjdzie noc piąta Maja.
W téj nocy to jego duch przylata,
Tę ziemię oglądać rad.
W téj nocy to wstaje on dla świata,
I wkoło odwiedza świat.

I okręt po niego aż na brzeg
Przypływa tu żaglem całym.
Na maszcie bandery połyska brzeg,
A w nim rój pszczół w polu białym.
I wsiada Monarcha, i płynie pędem,
Tak prędko jak bystry ptak,
Ster niedrga, nie pluszczą wiosła rzędem,
Niezjawia się życia znak.

Sam tylko Monarcha szkło do rąk wziął,
I patrzy w świat skryty pomroką,
I pierś mu się wznosi, i oddech tchnął,
I ogniem iskrzy się oko.
Gdy okręt po krótkim stanął biegu,
Wódz w serce swe chwyta raj,
Wyciąga dłoń do znanego brzegu,
I wita swój luby kraj.

6..

III.

SŁOWA Z ALKORANU.

Wnuk Proroka Emir Ali,
Po modlitwach w pięknéj sali
Oczekując na śniadanie,
Na bogatym siadł dywanie.

W tym niewolnik połą szaty,
Plamiąc Emira bławaty,
Przez niezręczność czy obawę,
Z półmiska zrzucił potrawę.

I uklękłszy woła: „Panie!
Napisano w Alkoranie,
Że podzieli los Anioła,
Kto swój gniew powściągnąć zdoła."

„Nie gniewam się" rzecze Ali.
„Panie! napisano dalij,
Wyższym będzie ten sto razy,
Kto przebaczy swe urazy."

„Więc przebaczam" rzecze Ali.
„Napisano jeszcze dalij,
Że najwyższym będzie z braci,
Ten kto za złe dobrém płaci."

„Masz więc wolność, i w tym trzosie
Pewność o twym przyszłym losie;
Oby widział Bóg z wysoka!
Jak przykazy czczę Proroka!"

Gustaw Szwab.

I.

ZEMSTA ŻOŁNIERZA.

Bębny grzmią,
Śpiewy brzmią,
Ciągnie z wodzem zbrojny lud.
Jak na morzu fali prąd,
Tak tu wciąż za rzędem rząd
Dąży wprzód.

Tylko sam
Jeden tam
Z rzędu wyszedł z bronią człek.
A na karność bacząc mniej,
Zatopiony w myśli swéj
W cieniu legł.

Lecz mu sen
Przerwał ten,
Sam Tureni lecąc w cwał,
I na niego wpadłszy w gniew,
Że karności śmiał iść wbrew,
Płaz mu dał.

„Precz mi ztąd
Zaraz w rząd,
Na swe miejsce prosto idź“
Rzekł Tureni. Żołnierz w bok
Rzucił dziki, smutny wzrok.
Żalu swego niemógł skryć.

„Oj! nie raz
Za ten płaz
Dany za tak mały błąd,
Będzieć żal.“
Szczęknął w stal,
I wszedł żołnierz w własny rząd.

Bębny grzmią,
Pola brzmią,
Szczęka oręż, parska koń.
W głębi skał,
Dumnie stał
Zamek najeżony w broń.

Nigdy wprzód
Moc ni głód
Niezdobyły jego wież.
„Wy do dział!
Wy na wał!
Każdy naprzód śmiało bież.“

Wcła wódz.
Ale zmódz
Nikt niezdołał trwogi swéj.
Każdy znał
Stromość skał,
I potęgę twierdzy téj.

„Kto nie tchórz:
Za mną tuż!“
Wyszły z rzędu żołnierz rzekł.
Słysząc to,
Z jakie sto
Spieszy na wał dokąd biegł.

Już się wzbił
Prochu pył,
Z drabin lecą w głębi foss.
Jeden śmiał
Wpaść na wał,
I zwycięzki sztandar wzniosł.

Hurra ha!
Radość trwa.
„Tryumf!“ krzyczą wszyscy tam.
Pyta wódz: „Cóż to za zuch,
Cóż to za waleczny duch,
Twierdzę tę otworzył nam?“

Bębny grzmią,
Zlany krwią
Przy sztandarze żołnierz stał.
„Wodzu nasz!
Oto bohatera masz,
Ten najpierwszy wpadł na wał“

Tak się głos
Wojska wzniosł.
Zbliża się Tureni, rad
Poznać kto ten mężny, kto?
Ale zbladł!
Widząc go.

Znany wzrok
Patrzał w bok,
Na twarz wstyd wystąpił krwią.
Tenże to
Pierwszy z mężnych wpadł na wał?
A on dziś mu płazy dał.

„Wodzu nasz!
Patrz mi w twarz!
Rzekł, i przyznaj wszak ci wstyd,
Że mi raz,
Prędko zbyt
Dałeś płaz.“

Ciężko tchnął,
Więc hełm zdjął
Wódz, i świetną schylił skroń;
Oko błysło cichą łzą,
I zlanemu męzką krwią
Żołnierzowi ścisnął dłoń.

Bębny grzmią,
Spiewy brzmią,
Wojsko dalej idzie ztąd.
Lecz gdzie jest zwycięzca, gdzie
Ten co zdobył twierdzę tę?
Cicho znowu wszedł w swój rząd.

II.

ROK 2,000.

—

ROZMOWA
PRADZIADKA Z PRAWNUKIEM.

PRAWNUK.

Oprzyj się pradziadku
Na moim ręku,
Już dzień jest przy ostatku,
A słońce w całym wdzięku.

PRADZIAD.

Zieleniąż się gaje?
A potok śród huku
Czyż nurty przez drogę
Wężykiem podaje?
Dosłyszeć pzawnuku
I dojrzeć nie mogę.

PRAWNUK.

Gdzie zmierzysz oczyma,
I drzewa tam niema.
Na gór owych szczycie,
W dalekim błękicie,
Podzielone na poręby,
Rosną, modrzewy i dęby.
A ową zajmuje stronę
Buraki sadzone.
Tam zaś w dolinie
Stały ma tór,
Woda co płynie
Pod jeden sznur.

PRADZIAD.

Aleź po wodzie
Wszak wioseł rząd

Pogania łodzie;
Już słyszę ztąd
Majtków śpiewanie,
Żagli bujanie.

PRAWNUK.

Nie, mój pradziadku,
To tak wesoło
W parowym statku,
Bo wielkie koło
Słychać tam w nim.
Już czuję dym,
Słupem się wzbił.
Już statek z dala
Pędzi co sił.
A za nim fala
W znacznéj przestrzeni
Jeszcze się pieni.
Co dzień i noc
Skrzypi i warczy.
On sam wystarczy
Za łodzi moc.

PRADZIAD.

Odwróć od fali
Młodzieńczy wzrok,

A patrząc w bok,
Poszukaj w dali,
Czy powóz jaki
Pod ową górką,
Dzielne rumaki
Nie ciągną czwórką?
Pędziż to cug
Z dalekich dróg.
Czyż to przez błonie
Tętnią tak konie?

PRAWNUK.

Nie. To parowóz
W zwykły swój tryb
Po drodze z szyb
Odbywa dowóz.
Koni dwudziestu
Siłę on ma,
Para szelestu
Dosłyszeć da.

PRADZIAD.

Jeszcze raz wzrok
Zwróc w inny bok.
Na lewo blisko
Było pastwisko,

Skąd tłuste krowy
Rycząc, z dąbrowy
  Do domu szły.
A dziś ich ryku,
Na pastewniku
  Nie słyszem my.

PRAWNUK.

Teraz zwyczajnie,
  Wśród lat i zim
Zajmują stajnię,
  Lepiej im z tym.
Czesane, myte,
I w cieple syte,
Dają [z opieką
Hojniejsze mleko.

PRADZIAD.

  Patrz tam pod bór!
  Stoiż tam mur?
Stojąż zamczyska,
Stare zwaliska?
W jego piwnicy,
Wdarty z krynicy
  Czy huczy szmer?
Szybujeż w około

Olbrzymi sokół
Chciwy na żer?

PRAWNUK.

Co się tobie roi?
Spójrzyjże sam,
Wszakże to tam
Przędzarnia stoi.
Tu jeden dach
Z cynkowych blach;
A drugi kryty
W smołowcu płyty.
Z krynicy owéj
Jak być powinno,
Zdrój płynie rynną
W kocioł parowy.

PRADZIAD.

Nie słyszę, nie z oczę,
Lepiej słuchać dwom.
Czyż to z swéj brony
Bocian klekocze?

PRAWNUK.

Nie, z tamtéj strony
Stoi przestrony
Modlitwy dom.

PRADZIAD.

A to co za brzęk?
To nie dzwonów dźwięk,
Jakiś wzbudza wstręt.

PRAWNUK.

To stalowy pręt
Bijąc o pręt inny,
Rodzi dźwięk ten słynny.
I tak do kościoła
Na modlitwę woła.
Czyż to milszy ton
Dawał dawniej dzwon?

PRADZIAD.

O gdybym to zdołał,
I dźwięk ten wywołał;
Którym teraz jeszcze,
Duszę moją pieszczę.
Gdy w górze okrągły,
I lśniący się dzwon,
Łagodny, przeciągły
Podawal nam ton.
Ah! już się skończyło,
Już wszystko niemilo.
Do domu powrócę,
Blask wspomnień ocucę.

A luba ich moc,
Rozjaśni mi noc.
Tak, to ty jesteś promienista twarzy!
Co świat pogodą pozłacasz,
Wzrok co blaskiem ognistym się żarzy,
Na ziemię dotąd obracasz.
Jakeś kolebkę oświecała moją,
Tak świecić będziesz na grobie,
Łube marzenia tak mi kraj ten stroją,
Jakby w przeszłości ozdobie.

Owdzie gaj szumi, liść w zielonym soku
Przejrzyście płonąc się świeci.
Tu siłą swoją śmiały prąd potoku,
Swobodnym popędem leci.
Wiatr pełne żale po rzece nadyma,
Wolne pluskają się łodzie;
Brzeg wolną rzekę w objęciach swych trzyma,
I stado igra w swobodzie.

Skądże wesołe okrzyki te słyszę!
Na koniach gna młodzież rączo,
Witam was z serca drodzy towarzysze!
Niech dłoń i serca się złączą.
Czy przybywacie z jaką myślą śmiałą,
Czcić cnotę lub skarać niecność.
Niech zimne dzisiaj obchodzi was mało.
W przeszłości znajdziem obecność.

PRAWNUK.

Pradziadku kochany!
Skąd w tobie
W tej dobie
Ten zapał nieznany.
Zawiera twa mowa
Nieznane już słowa.

PRADZIAD.

Czyż dźwięk co w mej duszy brzmiał,
W sercu twojem odgłos miał?

PRAWNUK.

Twój głos we mnie silniej tętni,
Niż tętniły twe rumaki.
Grzmi w mém sercu coraz smętniéj,
Pewnie dzwonu dźwięk był taki?

PRADZIAD.

Coraz żywszy blask pamiątek,
Coraz żywsza wspomnień moc.

PRAWNUK.

Już zgasł dnia ostatni szczątek,
Już nadeszła noc.

PRADZIAD.

Zbytniem się znużył dziś na przechadzce;
Wesprzyj mnie, wrócim ku naszéj chatce.
Od zeszłych zdarzeń,
Do snu, do marzeń.

UHLAND.

I.

ZŁOTNIARKA

W pracowni swejej złotnik stał
Przy perłach i brylantach.
„Skarb droższy w tobie Bóg mi dał,
Helenko! moje dziecię,
Tyś wszystkiem mi na świecie.“
W tym młody, piękny rycerz wbiegł,
I zaraz do złotnika:
„Girlandkę drogą zrób mi, rzekł,
Dla mojej narzeczonej,
Dla mojej przyszłej żony.“

Girlandka ta za kilka dni,
  Już się cudownie skrzyła,
W Helenki oczach smutek tkwi.
  I gdy raz sama była,
  Na skroń ją przymierzyła:

„Szczęśliwa narzeczona ta,
  Dla której ta girlandka;
Lecz on niech mi choć wianek da
  Z róż, co się w polu zrywa,
  A byłabym szczęśliwa.“

I wkrótce młody rycerz wbiegł
  Obejrzeć tę girlandkę,
I do złotnika znowu rzekł:
  „Zrób drogie dwa pierścionki,
  Dla mnie i dla méj żonki.“

Pierścionki te za kilka dni
  Gotowe były oba.
W Helenki sercu smutek tkwi.
  I gdy raz sama była,
  Z nich jeden przymierzyła.

„Szczęśliwa narzeczona ta,
  Dla której te pierścionki,
Mnie niech on chociaż prosty da
  Pierścionek z swoich włosów,
  Niezajrzę innéj losów.“

I wkrótce znowu Wojak wbiegł
Obejrzeć te pierścionki,
I do złotnika znowu rzekł:
„Prześlicznie dar zrobiony,
Dla mojéj przyszłéj żony,

Lecz chciałbym wiedzieć, czyli jéj
Do twarzy dar mój będzie,
Więc Pani go przymierzyć chciéj.
Bo jak dwie krople wody,
Podobneście z urody.“

Niedziela była. Iśdź na mszę
Helenka mając z ojcem,
Najlepsze suknie wzięła swe.
I w pięknéj téj sukience,
Ślicznie było Helence.

Wstydliwa, w niewinności swéj
Spłonęła żywym ogniem,
I gdy na skroń girlandkę jéj,
Na palec kładł obrączkę,
Rzekł, biorąc drżącą rączkę:

„Helenko droga! Bóstwo me!
Ach! Przebacz mi te żarty.
To ciebie ja za żonę chcę.
Girlandkę i pierścionek,
Przymierzył ci małżonek.

Twój ojciec rzekł, żeś droższa mu
Nad perły i brylanty,
Te słowa usłyszane tu,
Rękojmią są mężowi,
Niech on podobnież powi.“

II.

WIARA W WIOSNĘ

Ciepłego wiatru powiewy radosne
W noc, w dzień pracując mile tkają wiosnę;
Któż waszéj pracy wdzięcznie nieoceni.
Witaj nam świeży powiewie i dźwięku,
Niech więc i biedny wstrzyma się od jęku.
Bo wkrótce, wkrótce wszystko się odmieni.

Codziennie milszym widokiem się pieszczę,
Co nam da jutro, niewiemy to jeszcze.
W kiełkach i pączkach wszystko się zieleni.
Najdalsza nawet zakwita dolina.
Niech więc i biedny troski zapomina,
Bo wkrótce, wkrótce wszystko się odmieni.

III.

ŻNIWIARKA.

„Dzień tobie dobry Maryniu! Prawdziwie żeś
dziewcząt ozdobą.
Teraz nie dziwię się już, że syn mój szaleje za tobą.
Jesli ty we trzy dni, to zdołasz pożąć mi pole,
Chętnie Tomkowi mojemu żenić się z tobą pozwolę.“

Tak się do biednéj dziewczyny, bogaty dzierżawca odzywa.
I w kochające serce nadzieja luba jéj wpływa.
Nowa, silniejsza krew, jéj wszystkie członki przenika;
Jakby za kosą tak snop za snopem pod sierpem jéj znika.
Piecze okrutny skwar, źniwiarze ustają z znużenia,
Świeżéj szukają krynicy, szukają chłodu i cienia.
Tylko rój pszczół pracowitych zgromadza miód po równinie,
Z niemi przy pracy na wyścig widać wesołą Marynię.
Słońce zachodzi, już we wsi bydełko tłuste klekocze.
Mówią sąsiedzi do siebie: Oto mi dziewczę robocze.
Spadła już rosa na błoń, i xiężyc zajaśniał na niebie,
Kwiląc słowik wzniósł śpiew. Marynia nie wraca do siebie.
Z rana tak aż do wieczora, i od wieczora do rana,
Błogiej miłości nadzieją żyła dziewczyna kochana.
Już się na świat raz trzeci promienie słońca podnoszą,
Pracę skończyła, usiadła, w ufności płacze z roskoszą.

„Dzień tobie dobry Maryniu! Co widzę? skończyłaś o świcie.
Wszystko już jest pożęte. Oh! ja ci nagrodzę sowicie.
Lecz co do ślubu z mym synem, to żart był. Śmieszni są młodzi!
Jak nierozważnie i łatwo nadzieja do serca ich wchodzi."

Rzekł dzierżawca i odszedł. Marynia zbladła jak ściana,
Serce zdrętwiało, i zgięły się pod nią drżące kolana.
Ustał w niéj głos, oraz czucie ustało w niéj nieszczęśliwie.
I tak żniwiarze żniwarkę na zżętéj postrzegli już niwie.
Lata przeżyła w tym stanie, tak martwa i oniemiała,
Miodu kropelkę jedyną za pokarm i napój swój miała.
Kopcie, kopcie jéj grób na najwznioślejszej dolinie.
Biłoż tak czule jak w niéj serduszko w jakiéj dziewczynie?

Egon Ebert.

SCENA ALPEJSKA.

Alpy. Chatka, przed którą siedzi Góralka z głową schyloną, a w fartuszku trzyma trawę i zioła.

PODRÓŻNY

schodzi z gór śpiewając.

Z góry w dolinę
Z brzegu na brzeg,
Tak mej podróży
Toczy się bieg.

Zdoliny w górę,
Z brzegu na brzeg,
Tak życia boży
Toczy się bieg.

(Zeszedł, i ujrzawszy Góralkę staje.)

Powiedz piękna Góralko! czegoś tak strapiona?
Skąd łza po twoich licach tworząc sobie drogę,
Wilży kwiatki przypięte do twojego łona;
Może ja na twój smutek poradzić ci mogę?

GÓRALKA.

Po co mam ci powiadać co mnie tyle smuci,
Już tego com straciła nikt mi niepowróci.

PODRÓŻNY.

Cóżeś straciła?— Pewnie twój jedyny,
Serduszko twoje uniosł w swe doliny.

GÓRALKA.

Nie! Serce moje w tych górach zostało,
Ale mam smutku przyczynę niemałą,
Bo mi zginęło najpiękniejsze jagnię,
Gdy je dziś rano wilk rozszarpać pragnie.

Z skały skoczyło stroniąc od napaści,
I patrz jak biedne leży tam w przepaści.
Żal mi jagniaczka. Cóż z nim teraz zrobię?
Czemuż go ciągle nie miałam przy sobie?

PODRÓŻNY.

Niemaszże więcej prócz niego jagniątek?

GÓRALKA.

Ah! Panie! Jeszcze mam ja ich z dziesiątek,
Lecz wszystko dzikie. Mnie gorzka pamiątka,
Że tamto było nad wszystkie jagniątka.
Dobre, łaskawe, ledwie mnie postrzegło,
Łasząc się wdzięcznie zaraz do mnie biegło.
Gdym spoczywała, tak było łaskawe,
Że z rąk mych brało czy zioła czy trawę.
Patrz, od dwóch godzin narwałam ja ziół,
Ale napróżno! przewiędły już wpół.

PODRÓŻNY.

Powiedz mi piękna! I cóż ja dostanę,
Jeśli ci wrócę twe jagnię kochane?

GÓRALKA.

Co tylko zechcesz, jakie mam dostatki.
Albo obrazek przyniosę ci z chatki,
Lub srebrny krzyżyk co na piersi noszę.

POERÓŻNY.

Jednéj nagrody serce moje pragnie.
Daj mi całusek, a wrócę ci jagnię.

GÓRALKA
(podając mu rękę poufale.)

Ah! i bez tego przynieś mi je proszę.

PODRÓŻNY.

Niech i tak będzie. Idę po twe jagnię.
Jakąż najmilszą nagrodę,
Może dać dziewczę młode.
Jakąż nagrodę?
Najmilsza chłopcu nagroda,
Gdy dziewczyna młoda,
Usta mu poda.

GÓRALKA.

Jak śmiało skacze! — *(Do niego)*
Piękny podróżny!
Uczyń to dla mnie, i bądź ostróżny.

PODRÓŻNY.

Gdybym w tę przepaść zapadł się głęboko,
Ileżbyś po mnie łez wylała więcéj,
Niż po jagniaczku.

GÓRALKA.

Ah! Tysiąc tysięcy,
Ażby na zawsze wyschło moje oko.

PODRÓŻNY.

Dobrze! Więc ile łezbyś umarłemu
Dała, — całusków dasz tyle żywemu.
(Rzuca się w przepaść i znika.)

GÓRALKA *(sama.)*

Ach! mnie tak tęschno! Już go niewidzę.
Paskudne jagnię. Tobą się brzydzę.
O! dobry, dobry chłopiec. Jak się on to spieszył,
Śpiewając o całuskach jak się z serca cieszył.
Jak jest zręczny, jak żywy, ile w głosie dźwięku,
Ile w błękitném oku miłego ma wdzięku.
O gdyby już powrócił.

(Opiera głowę o rękę i patrzy w dolinę.)

Piękniej tam w dolinie.
Tu łyse skały, tam żywy zdrój płynie.
Ciepły wietrzyk tu nie wieje,
Tylko wieczny śnieg bieleje.
Z okiem łzawém sama stoję,
Któż zrozumie słowa moje.
Tylko smutnéj mowie,
Odgłos skał odpowie.
Tam woda wstęgę rozwija błękitną,
Tam po nad brzegiem kwiatki wonne kwitną.
O gdybym mogła, za tym usłużnym
Pobiedz podróżnym.
Piękny wędrowcze! Wrócisz mi jagniątko,
Lecz smutek wieczną zostanie pamiątką.

PODRÓŻNY

(zjawia się na górze, trzyma jagnię przeskakując ze skały na skałę i śpiewa.)

Bliska nagroda:
Dziewczyna młoda
Usta ci poda.

GÓRALKA *(sama.)*

To on. Zskakuje z góry, niesie jagnię moje.

PODRÓŻNY

(zeskoczywszy z ostatniego urwiska skały rzuca jagnię, wpół obejmuje i całuje Góralkę).

GÓRALKA.

Puść mnie, puść mnie mój miły. Ja ciebie się boję.

PODRÓŻNY.

Powiedz, czyżbym cię moją śmiercią był zasmuIleżbyś łez wylała, gdybym niebył wrócił. (cił.

GÓRALKA.

Tysiąc tysięcy.

PODRÓŻNY.

Więc tysiąc tysięcy
Daj mi uścisków, albo jeszcze więcej.

(Całuje ją znowu.— Jagnię skacze około Góralki).

PODRÓŻNY.

A twojego jagniaczka czyż nie kochasz więcej?

GÓRALKA *(zamyślona.)*

Ah! tak! To moje jagnię. Przecieżeś wróciło!
Ty lube i złe zwierze, gdzieś tak długo było?

PODRÓŻNY.

Ześliznęło się na dół po skalistej ścianie,
Lecz wdrapać się na powrót już nie było wstanie.
Bo z góry, w lewo, w prawo, czcze powietrze miało.
I tu i owdzie biegło, i smutno beczało.
Nim przyszedłem do ciebie słyszałem beczenie,
I śmiałom mógł powrotu dać ci zaręczenie.

GÓRALKA.

Lecz jakżeś je ocalił?

PODRÓŻNY.

I czegożby młody
Nieśmiał i nieuczynił dla takiej nagrody?
W darłem się do jagniaczka; a stopkami swemi
Gdy drapało się w górę i wznieść chciało z ziemi,
Zaraz w skał rozpadlinę sięgam ręką prawą,
Wychylam się, a lewą chwytam jagnię żwawo.
I wyciągam do siebie. Potém z skał na skałę
Skacząc, niosę bezpiecznie jagnię ocalałe.

GÓRALKA.

Dzięki! dzięki ci za to.

PODRÓŻNY.

Ah! Już piękne dziecię,
Z ust twoich wziąłem sobie nagrodę sowicie.

GÓRALKA.

Przecie dziś nieodjedziesz?

PODRÓŻNY.

Słońce coraz niżej,
Nim ja zejdę w doliny, to i noc się zbliży.

GÓRALKA *(z tęschnotą).*

Co odchodzisz?

PODRÓŻNY.

Ah! muszę! O drogie kochanie,
Bądź zdrowa, uścisk jeszcze daj na pożegnanie.

(Całuje ją, wyrywa się, wskazuje na skałę, i znowu schodząc śpiewa).

Wesoło dni pędź,
I łez sobie szczędź.

I niebaw w podróży,
Choć szczęście ci służy.
Lecz z kwiatka na kwiat
Przelatuj przez świat.
I kwiatka nie zrywaj,
By twoje sumienie
Nieskłuło zmartwienie.
Ah! o tém pamiętaj, i świat tak przebywaj.

GÓRALKA

(*siada, trzymając jagnię.*)

I ty o tém pamiętaj nieszczęsna Góralko,
A nauczona teraz gorzką serca walką,
Niewychodź z chaty, gdy zejdzie podróżny z da-
Bo podróżny jak burza błyska i ucieka. (leka,
Mówił, że mi ktoś uniosł serduszko w dolinę,
Sam uniosł, i porzucił ubogą dziewczynę.
Jagnie! Lepiej ci było zostać przy skał ścianie,
Zmieniło się w nienawiść moje przywiązanie.
Nieszczęśliwe! Przez ciebie cierpię dziś dare-
mnie,
Niema mego wędrowca. Precz więc, precz ode-
mnie.

(*Odpycha jagnię*).

Hrabia Wirtemberg.

Hrabia Wirtemberg.

SPIEWY WICHRU.

NA MIARĘ ORYGINAŁU.

I.

SAHARA.

(Wicher opowiada o sobie.)

Mróz ostry zimném swém
    Wyssał mi wszystkie soki.
Do Afryki jednym tchem
    Przelata bez odwłoki.

Rozdmuchłszy żarów tor,
  Nad Libji brzegiem wzrosłem,
I czoło moje z chmur
  Po nad pustynią wzniosłem.

U śpiącéj Sahary stóp,
  Ciągnęły karawany,
Odwiedzieć Proroka grób,
  Trzynaście wieków znany.

Jechało ich do stu,
  Ścieśnione tworząc szyki,
Spokojny szedł wielbląd tu,
  A tam dromader dziki.

Ten oddział Szeik wiódł
  Na dzielnym siedząc koniu,
Zwolna prowadził przód
  Po cichych zaspów błoniu.

Krzepki Szeika koń
  Był godzien, bym o świcie
Wszczął z nim przez zaspow błoń
  Wyścig o śmierć lub życie.

Zdołałem jednym tchem
  Z pielgrzymów strach wyludzić,
I śpiącą długim snem
  Pustynią wreście zbudzić.

Pielgrzymi! Póki czas
  Chrońcie się jak w ostoję
W oazę, przyjmię was,
  Ma cień i darń i zdroje.

Ah! Patrzcie! Cel wasz tam,
  Chrońcie się póki bliski,
Nim swe Sahara wam
  Ogniste da uściski.

Z pustynią zrywam mir,
  Szalone wszczynam tańce;
Rwę wrzący piasek w wir,
  I kręcę w niebios krańce.

Kurzawy gęstej pył
  Wzdął się po nad Saharą,
Kto w karawanie był,
  Wnet stał się jej ofiarą.

Szeik umyka sam,
  Ufny w swym wiatrogonie
Koniu! Szkoda cię tam,
  Za dobryś na ich błonie.

Oj! tybyś mnie się zdał
  Do moich chmur swobodnych,
Po niebie lecąc w cwał,
  Kolegów miałbyś godnych.

Przez zaspy pędzi te
Jak gdyby ptaka skrzydły,
I z nozdrzy ani tchnie,
Bo żar mu jest obrzydły.

Po żyłach jego gra
Lawa stopionéj stali,
Do serca mu się pcha
Krew w rozognionéj fali.

Węch taki dał mu Bóg,
Jak miecza ostrz zacięty,
A kopyt jego róg,
Był twardy jak djamenty,

Gra ścięgnów i gra żył,
Swietnie się współubiega,
By co tchu i co sił
Dosiądz oazy brzega.

Owiała kark i skroń
Jedwabna jego grzywa.
Tak pyszny był to koń,
Że roskosz aż porywa.

Szalenie rączo gnam
Tęgiego przeciwnika,
Lecz i kometa sam
Po niebie tak niezmyka.

Iskrzy się jego wzrok,
Jak u komety bywa,
I srebrny ogon w bok,
I srebrna płynie grzywa.

Za kozą lecąc w cwał,
Wpadł tygrys w drogę moję,
Porwałem piasku wał,
Zasułem nim oboje.

Na koniu jednak swym,
Wódz jeźdców pierzchł przedemną,
Nie mogłam zdołać z nim,
W oazę zbiegł przyjemną.

Jam wciąż w Pustyni rosł,
Jam fale piasków przegnał,
Gromom równy mój głos,
Konia z jezdcem pożegnał.

II.

SIROKKO.

Skwary południa suszą szeroko,
  Żyzny, obfity Prowancji kraj,
Bo jako wrzący lecąc Sirokko,
  Wpadłem śródziemném morzem w ich raj.

Zbytnie znużyłem chmur konie żwawe,
  Wożąc w pustyni burze i grzmot,
Jednak ich ciemną pędzę obławę,
  W ciężkim przelocie zrobiwszy zwrot.

W tém po nad brzegiem wioskę przyjenmą
Widzę płukaną od morskich fal,
A świetne słońce złoci przedemną
Gładkiéj i lśniącéj kopuły stal.

Tu po pagórkach na wszystkie strony
Rozbiegł się nucąc wesoły lud,
I do koszyków błogosławiony
Z oliwnych drzewek zgromadzał płód.

Wstrząsłem drzewkami w hożym przelocie,
Bo lubię widzieć owoców spad,
Tą razą w ciężkim tocząc się złocie,
Zalega ziemię pomarańcz grad.

Czyli ten spadek spłoszył mi chmury,
Dość że z nich jedna skoczyła w bok,
A grom z jéj łona runął ponury!
I błyskawica olsnęła wzrok.

Ogień słomiane zajął siedlisko,
A czarnym słupem wysoki dym
Wzbił się do góry, nikt nie był blisko
I nikt nie czuwał nad domkiem tym.

Biada ci, rzekłem, chatko rybacka;
Lecz dla mnie pożar miły ma wdzięk,
A w tym krzyk jakiś słyszę z nienacka,
I z krzykiem jakiś zmięszany jęk.

Słucham uważnie i niemowlęcia
Pośród płomieni poznaję głos.
Żal mi biednego było dziecięcia,
Wzruszył mnie jego okropny los.

Biedna dziecino! muszę cię zbawić,
Naciesz się jeszcze dni twoich snem,
Trzeba cię dzikszéj burzy zostawić,
Która ma szaleć po sercu twém.

Zaraz na wieżę kościoła spieszę,
I jakby na gwałt uderzam w dzwon,
W pomoc mi lecą wierne mi rzesze,
Straszny o wzgórza obił się ton.

Nigdy tak głośno nie biły dzwony,
Gdy w nie kościelny uderzał dziad,
Zbiega się zewsząd lud przerażony
Do téj chałupki, w którą grom spadł.

Kublami wodę podają zbawce,
Widząc że każdy pośpiesza rad,
Że płomień czynnéj uległ sikawce,
Poszedłem sobie daléj na świat.

Obejrzałem się. Wyrwanę dziecię,
Z lubym uśmiechem matki pierś ssie,
Nie raz się z sobą ujrzym przez życie,
Jak wichr miłości ochłonę cię.

Baron Gaudy.

I.

ODWIEDZINY.

Dzeń, dzeń, dzeń! Któż tam u kata!
  Co za naprzykrzony lud.
Jasiu! patrz jak dzwonek łata,
  Ledwie że nie pęknie drut.

„To poważna jakaś dama!
  Zmarszczek w twarzy ma do stu,
Zwie się Mądrość, — przyszła sama.“
  — Po cóż ona idzie tu?
Po Mądrości co Poecie?
  Ani się z nią widzieć chcę,
Niech w Ministrów gabinecie
  Siedzi, powiedz jej, że śpię.“

Dzeń, dzeń, dzeń. Któż tam u kata,
Co za naprzykrzony lud,
Jasiu! patrz jak dzwonek lata,
Ledwie że nie pęknie drut.

„Jakaś baba, chuda, siwa,
Ma na sukniach pełno łat,
Oszczędnością się nazywa.“
— Odpraw, niechaj rusza w świat.
Jakby kwiatki piosnki moje,
Ich oszczędzać nie mam co,
Zerwiesz jeden, zejdzie dwoje,
Stracisz dwoje, znajdziesz sto.

Dzeń, dzeń, dzeń. Któż tam u kata,
Co za naprzykrzony lud.
Jasiu! patrz jak dzwonek lata,
Ledwie że nie pęknie drut.

„Jakaś śmiała, krzepka dziwa,
Uwieńczyła wiankiem skroń,
I wolnością się nazywa.“
— Wpuść ją, lecz nie, Boże broń!
Czy łagodna? — „Oh! nie, ostra,
Krzyczy, gwałtem wchodzić chce.“
— Oh! to jej wyrodna siostra,
To Swawola; nie puść, nie.—

Dzeń, dzeń, dzeń. Któż tam u kata,
  Co za naprzykrzony lud,
Jasiu! patrz jak dzwonek lata,
  Ledwie że nie pęknie drut.

„To prześliczna panieneczka,
  Młoda, żywa, gdyby skra,
Dołek w twarzy, z róż usteczka,
  I Pustoty imie ma.“
— Dzięki Bogu! Przyszłaś przecie,
  Kwiatki rzucasz, samaś kwiat,
Bywaj zawsze przy poecie,
  Z tobą wiecznie żyćby rad.“

II.

MATKA I DZIECIĘ.

Leżąc na matki swéj ręku,
Cierpiący chłopczyna jęczy,
Boże! ulituj się jęku,
Bo serce mi srogo dręczy!

I matka zgadła bez mowy,
Skąd cierpień dziecka przyczyna,
„Pewnie to ząbek trzonowy,
Wątłe dziąsełka przecina.“

„Cicho, cicho, moje złoto,
Cicho, cicho mój jedyny!
Chłodzi usta ust pieszczotą,
Chłodzi wrzącą twarz dzieciny.

Przytuliwszy go do łona,
Hożo tańczy matka tkliwa,
I choć w sercu rozrzewniona,
Jednak mu wesoło śpiewa.

Czarodziejska dawna siła,
Z śpiewu jakby balsam ścieka,
Wnet się i łza osuszyła,
I zamknęła się powieka.

Usnął. Ah śpij dziecię drogie,
Pozostanę tu na straży,
Aż mi jutro szczęście błogie
Błyśnie zdrowiem z twojéj twarzy.

MAXYMIL: SZENKENDORF.

MOWA MACIERZYŃSKA.

(MUTTER SPRACHE).

Matki mowo! matki dźwięku!
Błogie, miłe, pełne wdzięku,
Słowo pierwsze coś mi brzmiało,
Pierwsze przywiązania słowo
Co się z serca wyjąkało,
Brzmij mi ciągle, brzmij na nowo,
Macierzyńska luba mowo.

Jak mi żal rozdziera duszę,
Kiedy jestem w obcéj ziemi,
Kiedy słowy mnie obcemi,
Własną myśl wyrażać muszę.
Nie przed swemi, nie ze swemi,
Ostre dla mnie obce słowa,
Niebrzmią jak rodzinna mowa.

Czarodziejska mowo matki.
Jakeś tkliwa, jak dobitna,
Jak pieszcząca i jak szczytna,
Gdy rozważam twe dostatki,
Tak mi błogo, jakby miły
Duch mych przodków wstał z mogiły,
I zstępował do méj chatki.

Brzmij mi ciągle, brzmij na nowo
Bohaterska przodków mowo!
Stara piosnko! w światach obu
Słynna niegdyś, wstawaj z grobu.
Pismo święte, święte słowo,
Opowiadaj aż wgłąb duszy,
Aż twe brzmienie czucie wzruszy.

Wszyscy ludzie są bliźniemi,
Ale miléj w własnéj ziemi.
Bo jest świętą matki mowa.
Czy w miłości, czy do dzięku,
Czy chce w modłach dobrać słowa,
Użyć muszę matki dźwięku,
Tak pełnego czucia, wdzięku.

Czabusznik.

ŻOŁNIERZ NA STRAŻY.

Noc niema zaległa nad okolicą,
Po domach ogniska żadne nie świcą,
I ptaszek na drzewie
Zapomniał o śpiewie,
I zasnął w krzewinie.
Żołnierz jedynie,
Zejść się nie odważy;
Z bronią na ramieniu,
Stoi w milczeniu,
Na straży.

Patrz wzbija się xiężyc nad drzew konary
Ah! witaj nam witaj, znajomy, stary.
Spokojnie,* swobodnie,
Jaśniejesz łagodnie.
Chcąc z tobą pójść społem,
Czekałem na ciebie,
Ty górą po niebie,
Ja chodzę tu dołem
Z bronią na ramieniu,
W milczeniu.

Wiatr mroźny wskróś przejął. Któż ciebie prosił,
O wietrze! żeś zaraz do mnie się zgłosił?
Idź sobie w swą drogę.
O! czemuż nie mogę
Stój! krzyknąć na ciebie!"
Ty wietrze ponury.
Płaszcz lepiej do góry
Zadzieję na siebie,
I zajrzę w lica
Xiężyca.

Na widok twój błogi,
Xiężycu drogi,
W człowieku się dusza
I serce wzrusza,

Zajrzawszy w twarz twoją,
Marzenia się roją,
I z wieku strumienia,
Przychodzą wspomnienia,
A dawna z daleka,
Do serca myśl ścieka.
Tak czule, łagodnie i mile,
Że człowiek jest młodszym na chwilę;
I z tem mu wzruszeniem łzy płyną,
Jak gdyby był znowu dzieciną.
Krew dawna, krew szczera drga w żyle,
Sny lube się wzajem wołają,
I wszystkie, tak wszystkie wracają.
Pfe! wstydź się wiarusie siwy,
Dusza twa słaba,
Tyś tkliwy
Jak baba.

Był jednak niegdyś czas złoty,
Jak brzask poranku, jak sen dzieciny,
Jak tkliwej matki pieszczoty.
Tak jest, tak, ojca doliny
Serce zapomnieć nie zdoła!
A jak słodka
Zwrotka
Tak brzmi w sercu pieśń wesoła

Pasterzy na pastewniku,
I w kniejach odgłos legawek,
Wpływający do trzód ryku,
Do pustej młodzi zabawek,
Do trzód beczenia,
Stad rżenia,
A gdy z łąki
Z pasionki
Wracając z sercem wesołem,
W flet zadąłem,
Luba wybiegała z chatki,
Od matki,
A gdy się xiężyc chmurą okrywał,
Franek milszą straż odbywał.

Luba Zosiu! Dotąd jeszcze,
Myśl o tobie w sercu mieszczę,
Choć działa grzmiały,
Ja stały,
I w tej dobie
Myślałem o tobie.
Nieraz w nocy przed uśpieniem,
Tyś mojém była marzeniem,
Tęschność po tobie w sercu się rozszerza,
A dusza,
Tak się wzrusza,
Jakby do pacierza.

Gdzież teraz ona być może?
Czyż pomyśli o kochanku,
O swym Franku?
Może już zimne jéj łoże?
Błogosław ją Boże!
A może szczęśliwa,
W objęciach męża spoczywa,
Może własne pieści dziecię,
I tak błogosław ją Boże!
Ja zostałem sam na świecie.

Oto dar od niéj wstążka różowa,
Franek ją na sercu chowa,
Nie jedne zemną odbyła wyprawy,
A gdy na polu sławy,
Świstały kule,
Wstążkę do serca tuliłem czule.
Luba pamiątko! Jakżeś teraz blada!
Światło xiężyca tak na ciebie pada,
Jak liść płaczącéj wierzby na grobie,
I tam spoczniemy przy sobie.

Ale cóż to widzę, co?
Wąsom żołnierza nieznana
Od lat tylu niewidziana,
Tyżeś łzo?

Cicho Franku! lez nie roń,
Tyś nie sam,
Oto tam,
Stoi broń.
To jedyna twoja żona,
Wiecznie z tobą połączona,
Tyś z nią zawarł ślub,
Z nią idź w grób.

W ramię broń, minął czas,
Otrzyj łzy, bo śmiać się będą,
Oto z swą kommendą
Idzie sierżant wraz,
Stawać masz,
Zmienią straż.

Justynian Kerner.

WĘDROWIEC PRZY TARTAKU.

Tam za tartakiem nisko
Usiadłszy w miły chłód,
Ujrzałem kół igrzysko,
I ciągły spadek wód.
A widząc jak szła piła,
Marzyłem jakby w noc,
Bo ścieszki swe robiła
Wciąż przez sosnowy kloc.
Kloc zdawał się być żywy,
Wszystkiemi żyłki drgał,
I smętne nucąc śpiewy,
Te słowa słyszeć dał:
W sam czas jak zawołany,
Przybywasz w miejsce to,
Dla ciebie znoszę rany,
I serce moje trą.
Po krótkiej twej podróży,
Gdy skończysz z śmiercią bój,
To drzewo ci posłuży,
Na szczupły domek twój.
W tém cztery deski spadły
Z pod piły prosto w dół,
Coś chciałem mówić zbladły,
Lecz ustał łoskot kół.

Gabryel Zejdel.

ŻEGLARZ POWIETRZNY.

O pewnym człowieku powiada nam wieść,
Że ciągle przemyślał jak wniebo się wznieść.
I mniemał że tylko w błękitnej przestrzeni,
Spocząwszy na blasku słonecznych promieni,

I chmurą różową w około ogrzany,
I orłów skrzydłami potężnie owiany,
Przed światem za obłok zdoławszy się skryć,
Wesoło i wolno tam będzie mógł żyć.

Na sztucznych więc skrzydłach tak wzbił się wy-
Że ziemskie dosięgnąć nie mogło go oko, (soko,
Bo chciał póki jeszcze na świecie miał żyć,
Wesoło i wolno pod niebo się wzbić.

A czego nikt skrzydłem i sztuką nie zdoła,
Swym tęschném pragnieniem zmienił się w sokoła,
I bez pożegnania zerwawszy się z ziemi,
Pruł wolne powietrze skrzydłami lekkiemi.
I piersią sterując aż w eter się wzbił,
I szczęście i roskosz swobodną w nim pił.
A gdy tak wysoko powietrze już pruł,
Spoglądał się w górę, spoglądał się w dół.
I bujał się w górze, i zrobił w niej zwrot,
I wstrzymał w powietrzu wirowy swój lot.

Bo widząc wciąż błękit daleko, wysoko,
Bo widząc wciąż przepaść głęboko, szeroko.
Dreszcz myśli przeniknął, olsnęło się oko.
Samotnie tak w górze, tak pusto, tak czczo.
Modrego, niemego Oceanu dno,
Bez końca błękitne zamyka równiny.
Wiew wiatru na usta, to uścisk jedyny,
Krzyk Orła co czasem pod niebo się wzniosł.
Ten tylko w naturze jedyny tu głos,

A wszystko poniżej nieznacznie się kręci,
Zapewnie dzień szczęścia radosny duch święci.
Bo w całym okręgu całuski i śpiew
Przechodzą bez końca od stoków do drzew,
Od rzek do powietrza, z powiewów na kwiatki,
A w wonnych gałąskach pstre ptaszą tgromadki.
Po krańcach poziomu rozbiegłszy jak gońce,
Swietnemi piórkami łyskają pod słońce.

A miasta wieżami wzdłuż lśniąc się i w szerz,
I krzyże złociste iskrzące się z wież.
I dzwony dalekie, i śpiew oddalony,
Blask z dźwiękiem donoszą duszy zachwyconej.

Coś serce mu ściska pętami setnemi,
I chwyta, i ciągnie, i tłoczy ku ziemi.
I nagle mu w górze zrobiło się czczo,
A morza radości na ziemi się skrzą.

Więc skrzydeł uniża, i prawie ze szczytu
Powietrza bez końca, z otchłani błękitu,
Tak spadał jak Anioł, lub duch nieraz spadł,
Gdy szczęście i roskosz przynosił na swiat.
A w drugich radości gdy własną swą chwytał,
Krzew każdej doliny wesoło powitał.
I kiedy nakoniec na ziemi już stał,
Z wielkiego podziwu i szczęścia aż drżał.

Na ziemię się rzucił, ochoczy wzniosł śpiew,
Ze stoku pił wodę, owoce rwał z drzew,
Jak gdyby on myśl tę odgadnął przed chwilką,
Że szczęście człowieka na ziemi jest tylko.

Chamisso.

NARZECZONA LWA.

Lśniąca się wiankiem i od ślubnych szat
Córka dozorcy, dziewczyna jak kwiat,
Wchodzi w lwa klatkę, on rad ją poznaje,
Łasi się do niéj, i cieszyć się zdaje.

Przed chwilą dziki, oddychał on krwią,
Teraz łagodnie spogląda się w nią.
Dziewczę wzruszone tych uczuć wyrazem,
Pieści go, głaszcze, i płacze zarazem.

„Lwie mój kochany! przeminął już czas,
Gdy my jak dzieci bawili się wraz,
Gdy my jak dzieci kochali się z sobą.
Czas tę pamiątkę osłonił żałobą.

Dla mnie najpierwszéj ten zaczął się ból,
Wcześnie już grzywą wstrząsnąłeś jak król.
W koléj i dla mnie pospieszne dni płyną,
Patrz, już nie jestem jak byłam dzieciną.

Czemuż nie jestem dzieciną mój lwie,
Nigdy odstąpić niechciałabym cię;
A teraz muszę iść z mężem jak żona,
Obcemu sobie jestem narzeczona.

Mówił żem piękna, i ręki méj chciał,
I dziś mu ojciec za żonę mnie dał.
Mój towarzyszu! ta łza tobie powie,
Że w sercu smutek, choć mirt mam na głowie.

Rozumiesz wszystko? Tak strasznyś, tak zły,
Jam żal stłumiła, stłum także i ty.
Patrz, wszedł mój przyszły, wnet mężem zosta-
Uścisk ostatni przyjm na pożegnanie.“ (nie.

Gdy usta dziewicy dotknęły się lwa,
Zatrzęsła się klatka, a o kroków dwa
Gdy lew oblubieńca oczyma przemierzył,
Strach z grozą do serca dziewicy uderzył.

Lew zaraz przed drzwiami na łapach się wzbił,
Wzniósł ogon, wstrzął grzywą i ryknął co sił
Ta prosząc, i każąc, i grożąc wyjść chciała,
On wyjście od klatki zalega jak skała.

Wrzask różny się miesza. Pan młody swą dłoń
Wyciąga i woła. „Podajcie mi broń:
W sam łeb lwa wypalę, z zapałem wykrzyknął.
Co słysząc zjątrzony lew pieniąc się ryknął.

Nieszczęsna do drzwiczek przybliżyć się śmie;
Lew wściekły łapami na poły ją drze.
A ta której wdzięki uwieńczyć miał ślub,
Rozdarta, skrwawiona, już tylko jest trup.

Zaledwie wytoczył najdroższą mu krew,
Przy zwłokach z rozpaczą omdlały padł lew,
I na nic nie zważał, tak straszny ból miał,
Aż serce ognisty przeszywa mu strzał.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE VI.

POEZJI BRUNONA HRABI KICIŃSKIEGO.

Stronnica.